

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JULIUSZ SŁOWACKI

POEMATY

JAN BIELECKI

*POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA
OPARTA NA PODANIU HISTORYCZNYM*

I

WYPRAWA NOCNA

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Tu źródła bogactw w zapyłonej ramie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmunatów jak echo daleki?
Są to jak Sfinksy te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „Kraj nasz dosięgnął szczytu,
Chylić się musiał”. – Precz z myślą szatana!
Pamięć, w dalekich wiekach obłąkana,
Niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...
O! jak spokojne otchłanie błękitu!
Tam z dala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny – bez steru.
Gdzież jestem? – Oto mury Westminsteru,
Tam Izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w urny,
Wybiegłem – więcej nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i co dzień
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień...
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli spiesznie do progów kościoła
I umierając kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy

Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy
Nie mając w duszy wrącego płomienia?

Posepny – siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach – a godło obrazu
Było: „Kraj zdradził, lecz zdrada zabija”.

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju, nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczone.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z srebrnych sadzawek niby dla igraszki
Wytryska woda tchnąca wonią róży
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy,
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznąć za stołem,
W złocistej szacie, ale bardzo blady;
Wydaje troski zachmurzonym czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,

Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzezan mówi – szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie – a ja w krótkim słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! Winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, niepróżno przychodził;
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzął na mnie i odprawił z niczem.

Nasz dumny Stefan, do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książe?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzeże;
Ja się usunę! – niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! – niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę”.

Miodem i winem, i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.

I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się mieszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki!
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

II

WESELE

W Brzezan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz – potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartym czołem, Jan Bielecki zbrojne,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza,
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku
Sklaniał się bukiet z róży i barwinku
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej swaty za młodym rycerzem,
A dalej bracia husary, pancerni,
A dalej służba w wielkim stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniącą jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżycy półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusim piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!

Widne łzy w oku, widne drzenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje – ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały;
I pochodniami świecili kozaki,
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie! – zawołał pierwszy swat – przede mną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? Ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę – oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...”
Kiedy to mówił – przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą – sam Jan staje, słucha,
Blednieje – nagle z tłumy się wyrывa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił – prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno! – rzekł – Anno! wracaj! – nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twoim objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!... – Zadrzał – i spał konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął – żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz – pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dóm Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III

BAL MASKOWY

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnym wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie – i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. – I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone,
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł – czapkę miał na głowie
Brzmiącą dzwoneczkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!”
„Na wieki wieków” – starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzezanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maskary”.
„Ha! precz mi z oczu! – krzyknął cześnik stary –
Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!

Precz! bo na Boga...” – lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wyrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą,
Wokoło słycać nocnych kurów pianie
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Z nagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
Wszedł blady człowiek – lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!”
Wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu...”
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!
Zmiłuj się nad nim – zmiłuj się nade mną”.

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzezany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złożonymi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty,
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w rękę jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu¹.
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody, •
Poślubił morze i jak Tass się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyjamentowy,
We włosach toną przepaski z koralami...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali:
„Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...”
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

¹ Wenecja.

IV

ZEMSTA

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nieszczera;
Śmiech słyhać!... śmiech to wymuszony świata
Na białych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczą biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna,
Nigdy nie żyły i w nieba błękitach
Nie odetchnęły – i nigdy nie zwiędną.
Lecz któż by przeniósł takich kwiatów życie
Nad jedną chwilę rozkoszy – choć błędną?

Pan Brzezan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłum różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury,
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złożonych niejedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, krok niepewny, skory.
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słyhać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,
Zawołał paziu, pomieszany, biały.
„Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie półowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty...”
„O panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.”
„Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zaraz by pełne obiegła szklannice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...”

Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! pędzej, paziu młody!”

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrzały, zgasły, tylko błądy
Świecił się promień lamp, w alabastrowe
Ukrytych głązy... Wpadł jak śmierci mara
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzezan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emaliji zaćmionym lazurem
Obraz Najświętszej Panny malowany
I obraz krzyża – pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżycy półkole
I gwiazda, nad nią hełm ze strusim piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone
I padł starosta na twarde granity,
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrzała, padła na głaz jak nieżywa;
A Tatar przybiegł i padł na kolana.
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana,

Chwył ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy rózne pospadały wianki
I włos się rozwił pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatarów.
A strasznie bladą była twarz dziewczyny.

Budzi się – gdzież jest? – W zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno, i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
– „Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam cię, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę – rysy twego czoła...”
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzała i padła omdlona.
Znow po niej życia rozlały się ślady
I znow po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...”
– „Ha! blady? – przerwał rycerz z dzikim śmiechem –
Wszak zdradzam!...” – zamilkł – lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnym powtórzono echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał,
Ja zdradzam! Będę jak róża rozkwitał?
Na moim czole napisano – zdrada.
Kraj cały we krwi... Wznies na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkła malowidła.
Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszym patrzy i niepewnym licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy:
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa, od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O luby moja! po co te rozmowy?
Luby! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twoim łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpacz”. –
– „Mój ojciec!” – „Ojciec?... Ojciec przeklnie cię!
I ty się lękasz?... Przeklnie! I cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...”

Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie – wszyscy przyjaciółmi memi,
Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi”.

V

KOŚCIÓŁ WIEJSKI

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drzące
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przegłądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny,
Zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny,
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Ksiądz tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się skończyła. – Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął spod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli.
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja, stary wiekiem, z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w bożym słowie.

Tu niegdyś siadał – oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!...”
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen – lecz amen żaloby.
Jakże niechętnie, dźwiękiem ledwo żywe!
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale za ledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrzał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś, drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrzał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi – twarz blada, nieżywa;
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!...”
Wnet się oddalił tłum kościoła wiemy,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza”.

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewczica!
To Anna! Z ust jej nie słyszano słowa;
Czy brak w niej czucia? Bo sucha żrennica;
Twarz nieruchoma – jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.

Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z koralu.

„O mój najmilszy! – rzekła – o mój drogi!
Jesteśmy sami – już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął – a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. –
Ty milczysz? – Luby! odpowiedz mi łzami!...”
Nagle spojrziała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi”.

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemniej kolory
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach w różne kształty, wzory,
Lica wyśrebrzał – a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
I coraz słabsze – nikły – jako w Bogu
Tonące modły – jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu
Usnęła – może usnęła na wieki...

I cicho! Niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,

Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści, i śmiech obłąkania,
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

GODZINA MYŚLI

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy
Są hymnem tego świata – a ten hymn posepny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępnym,
Wpada między grające przed Jehową sfery
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy,
Jedną godziną myśli – trzeba w przeszłość wrócić;
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić...
I ścigać okiem światła obrazu i cienie
Jak lśniąca rozprysnionych mozaik kamienie.
Tam – pod okiem pamięci – pomiędzy gór szczytem
Piękne rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny, wąskim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgłę nocnej wieńcem okien błyska;
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne – miastu panująca cieniem;
Stary – posepny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty – chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
Często szczyt wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystej księżycy wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przecuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary.

Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą
I bladym przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi – bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali
Siedziało dwoje dzieci – nie zmieszani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkim odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz: „On umrze” – mówili przed matką;
Wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem – lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: „Niech się dzieje wola Boga”.
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej szkolnej sali było drugie dziecko.
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
Trawił się – jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzył w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłądność w oczach widzieli – lecz skazy
Żadnej dostrzec nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha;
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem

Nie odwracając lica. W ciemnej szkolnej sali
Smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną – wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia, białym pogrzebane śniegiem,
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze umalowane zimnymi kolorami
Obracali na stronę, skąd przyjsć miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,
Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną – dziką i ulotną;
Była to woń wierzbami oplakanej wody,
Z cichej fali wstawiała każdego wieczora,
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią – dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezja duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnymi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie,
I stawały – i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Ze się zapozna myślą z myślącym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził – i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowym zamknięta przezroczu,
Patrzała na świat dzikim obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą
Składali jedne, piękne całością obrazy.

W dniu wiosenne przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
Gdzie nad nimi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wisnie jak dziewice w białych wiosny szatach
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenburga budowali gmachy
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu tytanowymi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa jak szczeble wschodów połamane
Wiodą w światło idące albo w ciemność duchy,
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona
Różnym życiem przez wieki rozkwita – i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów.
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszym co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinię,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemijski sny ścigani – grzeszą myślą dumy.
I co dnia z łona Boga dusz zagastych tłumy
Lecą na ziemię jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzawiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań – i bladli.

W duszy dziecinniej woli czarnoksięska siła,
Ciągłym myśleniem, ciągłym rozwijana snuciem,
Nie wyjawiona słowy – często w ludzi biła.
Zaczarowanie wolą nazwali – zacuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;

Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła
I pośród tłumu ludzi jej wzrok, w zadziwieniu,
Nieobłądnie rzucony, na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jak gdyby ją po znanym wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: „Słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy,
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte – moje myśli gasną,
Słów nie cierpią – lecz nieraz w godzinie tajemnic
Tłumnymi słowy w piersiach jak szatany wrzasną
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
Abym je wywiódł na świat – słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezję – dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami.
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy, biada! Ciągłym gniciem
Myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami,
Stanę się myśli grobem – lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
Chciałbym jak liść nieznaną paść tam, w głębi lasów”.

Gdy tak marzył – to wisznie i kwiaty ogrodu
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła
I wkrótce marzeniami ognistymi wschodu
Zamknęła go w płomieni kole i obiegła.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
Gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło kalifów;
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnymi oczyma
Poznało miłość. – Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy – anioła,
Czarnymi weń oczyma patrzyła i bladła

Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łyzy łała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia – chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi;
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące.
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Ze we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło
Dziwnym wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło
I rzucał w nie obecne chwile – i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;
A nieszczęście przyjmował półsmutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. – Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głązów,
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani – marzący jak we śnie.
A dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumem
I biegło w ciemne lasy – tam na dzikie wrzosey
Kładło się bladą twarzą – sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnymi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą – wtenczas na oblicze
Padało światło lasów – promień słońca złoty,
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłumaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił
I rzekł: „Odjeżdżam na wschód, w krainę palmową”. –
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka – pobladł – jego oczy
Obląkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny,
Widać, że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy
I wbija go do ziemi. – Jakaś tajemnica
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.
Mało mówił – i tylko raz wśród dzikich sosen
Wykrzyknął z obląkaniem: „Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.
Chcą mię zabić!” – a potem uśmiechnął się blade
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał – i w drugiego dziecka imionniku
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci”.

Wkrótce potem... pamiętam... o księżycu wschodzie
Drugie dziecię wśród ciemnej dębowej ulicy
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy.
Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych zegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka
Przecuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi – a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem,
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotymi rozkwitała farby
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga.
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.

On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miliona
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...
Wzniósł twarz... już nad nim młodej nie było dziewicy;
Długo dumał... bo księżyc pół nieba przepłynął
I patrzył drugą stroną dębowej ulicy
Jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany patrzył w księżyc błądy,
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią;
I przy księżycu świetle czytał nieruchomy,
Na nieznanym liście podpis nieznanomy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił...
Niewinnej wesołości długie puścił wodze
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem,
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie strzemienne podano kielichy...
Żegnał się – za łzy dawał wesołe uściski
I pucharem o nasze puchary uderzył.
Odszedł. Wtem uczujących strzał przeraził bliski,
Tłumem biegliśmy w jego komnatę... już nie żył.
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
Spoczywa na rozdrożu – wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
Obląkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
Ten wypadek dóm cały nappełnił żałobą”.

Oto jest romans życia nie skłamany w niczem...
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconym na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny... powieść nie skończona..

W SZWAJCARII

I

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza, z popiołów,
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki?

II

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
 Przez tęczę idzie na skraju doliny
 Szczytać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona zrennicą z błękitu! –
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
 Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę
 I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie;

I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moja.
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stałem przed nią i spuściłem oczy.

III

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
 Spłaszczoną płetwą jak delfin olbrzymi;
 Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
 Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stały blisko złote, nieruchome;
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne zrennice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: „One się zakochały w tobie!”
Rzekłem – i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie.
Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica,
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać;
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,

Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc – łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
 Za tą jasnością rybek korowody,
 I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V

Raz – że nie była niebieskim aniołem,
 Myślałem całe długie pół godziny;
 Wyspowiadałem się potem z tej winy –
Słuchajcie! – Oto przed Tella kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro,
 Łódkę mą – piersią odtrąciwszy białą...
 A ja – ach, nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić łyzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy

Od sosen, co się kołyszają na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna, i taka ruchoma,
 Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
I przybliżała łącząc je rękoma,
 Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę – boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! – i tak wierna!

VII

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słyszając, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
 Tak nieruchoma stała – a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
 Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.
Ave Maria!
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta, co imię ukochane kryśli
Lub o błękitnych jakich myślach – myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
„Może za miłość ja pójdę do piekła
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody

Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...”
„Lecz prawda – rzekła – jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...”
Ave Maria!

VIII

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą,
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O moja luba! tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Ześmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z Pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą;
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń naokoło rośło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet, i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

X

Lecz nadto było cyprysowej woni
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą. –
Było to rankiem – pomnę – pod kaskadą –
Byliśmy niczym nie strwożeni – sami –
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszeptał do ucha,
 Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. –
Była jak anioł, co myśli i słucha –
 I nagle – takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
 Ze nie wiem dotąd, jak się wszystko stało;
Alem ją w usta różane całował
 I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle – w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło
I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami. –
Odtąd jużesmy nie czytali sami.

XI

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza, i bladsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
 Ręce na białą zakładała szyję
Jak ta, co boi się albo się broni.
 Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą – niewinność.

XII

Widząc ją taką chciałem bronić siebie
I rzekłem: „Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije

Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem, i zadrzałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił – ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała złąka,
 Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
 I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą –
 Nie jam był winien – lecz lilija winna”.

XIII

Płonęła wonna jak kadzidło mirry
 I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszymi oczu stały się szafiry
 I prędsza fala białości na łonie,
 I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślane, własnych myśli słucha.

XIV

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
 Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się – i płaczą,
 Że była burza gromami czerwona,
 Że była grota posepna i ciemna
I grocie z kaskad kryształu zasłona;
 Że była trwoga w ciemności tajemna,
 Razem niepamięć jakaś boskiej kary;
I skarga smutna czystych nimf podziemna;
 Że nas tam samych dzień odstąpił szary
 I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,

I ptasząt nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tym, jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach, gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionym na błękitach czołem;
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją – na ziemi.

XV

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wyplakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła. – I naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krażek księżycy tonący w błękitcie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła
Na licu swoim przezroczystsą białość,
Żywszy ust koral i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.
Więc osłoniła się cała w warkoczu
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać
I o czym cichym pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi błądy pierścionek Dyjanny:

Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą
I wszystkie liście na drzewach zabręcą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć – przebaczą;
Jeżeli o czym zapomnieć – zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli”.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie – myślałem, że padnę!...
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże...
Motyla miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w półowie
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże
Spod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któż by wierzył w przecucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy; kiedym spojrział z góry,
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębnice,
I zadumane o nas w łąkach trzody;
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.

Szedłem posepny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle –
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...

Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,

Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek.

.
.

XVIII

Gaje! doliny! łąki i strumienie!

O nie pytajcie wy mię, smutne, o nią.

Są łązy, co mówić na zawsze zabronią.

A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;

I widzę jasne, błękitne spojrzenie,

Co się zaczyna nade mną litować,

I widzę usta, co mię chcą całować,

I drzę – i znów mię ogarną płomienie.

I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schować?

I gdzie łązy ukryć? i gdzie być samotnym?

I staję blady, i kreślę jej rysy;

Lub imię piszę na piasku wilgotnym;

Lub błądzą między róże i cyprysy

Jak człowiek, który skarb drogi postrada,

Zmysły utracił i płacząc usiada

Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;

Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX

Jest pod moimi oknami fontanna,

Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;

Jest jedne drzewo, gdzie harfowym tłumem

Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,

Gdzie co noc błada zaziera Dyjanna

I czoło moje smutnym blaskiem mam.

I tak mię budzą zalanego łzami,

Te drzewo, księżyc ten i ta fontanna.

I wstaję blady, przez okno wyzieram

Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej – ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
I schnę, i wędnę – i ach, nie umieram...
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

XX

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować
Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijala oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżycu blasku biała – lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych – różowa?

XXI

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu – i tam – za morzem – i wszędzie,
Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle – i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę
Idąc po fali... zaszeleści złotem
I załoscocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni – ocknie się i wyjdzie ze mnie.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL – ARISH

Dla objaśnienia następnego poematu potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El–Arish. Wymyśłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tym miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny kazali zaraz ukłęknąć wielbładowi, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El–Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknoscią na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napępiała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszym świetle, albowiem je zobaczy przez łyzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić wzięwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnym, okropna burza, przewiewana wichrem z Morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i poląła się deszczem piorunów

na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni – Anhelli myślał że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą – przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napęlić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Ziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbitcia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnym posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się na koniec niebo, Ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche i spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas – może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacją Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni zawieszanej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia – przeminął. – Wielbłądy moje znów ukłękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. – Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilie, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za

uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czymże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu?

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór – wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Zona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam – gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam – o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.
O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w moim sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu –
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: „Starcze! gdzie są twoje dziatki?” –
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: „Starcze! gdzie są twoje córki?”
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje, wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha –
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. – Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;

Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. –
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci. –
Najstarszy – z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie”.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem – nie czas już było ratować. –
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: „Niech się nikt nie waży!”
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! – tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! – i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz te słońce w niebie lazurowym?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze te niebo nie splamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu;
Już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgubę

Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci:
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Ze nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą

I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła – wszystko czworo,
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać –
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje,

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna
Śmierć zobaczyłem! – Ach, ja go tak strzegłem! –
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Nikt by nie dostrzegł – ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! – Na twarzy plam żelaznych krocie –
Więc zawołałem głośno: „Śmierć w namiocie!”
I pochwyciwszy go z takimi trądy
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała – matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy
Ja z wielbłędami – na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
„Oby nie umarł! lub się był nie rodził!” –
A tam nad palmy, z twarzą Nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzył: – tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży –
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali. –
Powrócił! – Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: „Niech Bóg wszystko bierze!”
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mym rodzinnym gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
Toteż Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: „Jesteście przekłęci!” –

Skonał. Myślałem wtenczas – o rozpaczy! –
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyszłe po nie:
Dziecko mi weźmie – żonę – a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę..
Córka! – Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła – i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na róże przeze łyzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce

Najmniejsze dziecko w kołysce strzegła.
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze oplakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy – wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło – nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichymi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, z wolna, schylały się nisko
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie – ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: „Hatfe! moja Hatfe!”
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słyszac jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć –
Córka!!! – Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila –
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: „Ratuj mię! ratuj, mój ojczel!”
I miała wtenczas czerwone usteczka
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła. –
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci –
A piękna była jak anioł – po śmierci!

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostróżni zaczęli hakiem –
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą...
I tu – bogdajby jak ja nie umarli! –

Tuż pod moimi oczyma rozdarli. –
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją – i sam zaniósłem na cmentarz.

Z założonymi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słyhać.
A ta pustynia – nie masz dzieci w grobie! –
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze – dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko – dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Spiewającemu słyhał muezina:
Jakby się nad moim ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzyżąc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu – wielkość Boga.
O! bądźże mi Ty pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zacząło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego – córki go uprzedły –
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się, i lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie –
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kapać się w piasku;
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? –

Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna
I spostrzegłem to – i było mi smutno.

Po córce w pięć dni – o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle! – Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! –
Grom spadał hucząc po gromie – i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko –
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz – matka – ja – oboje razem –
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obójgu głośny
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło – z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! –
I już nie wróci nigdy! – o rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie – przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata – choć tak, nie inaczej –
Ubyłoby mi z serca pół rozpacz.
A te już – ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama,
Ale je matka tam zaniósła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojdziesz? – zamiast nas połączyć,
Boleść, obójgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa –
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. –
Więc tak bezdzielnym było – i tak co dnia –
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiął.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy –
Zdrów byłem. – Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,

Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy zbladła
I zachwiała się z jękiem – i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się – na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłym pamiątka –
Patrzaj! – obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte –
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze nie zepsutym wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek –
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako dziedziciniai – starzy –
W pamięci mojej – żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny, i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyjen przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami... i słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupojady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.

I przechodziły mi dni i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz – ach, boska nade mną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagłada –
I ach! – Nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał – i spojrzął z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wrywał koły i powrozy,
Które... (o Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomóż ty mi je zerwać – sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie – uciekaj! Ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? – ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś – oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich – patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic – oprócz Boga;
I tam mój cmentarz – a tamtędy droga. –

ANHELLI

*STEFANOWI H.
NA PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ
W ZIEMI ŚWIĘTEJ I POD GÓRAMI
LIBANU*

ROZDZIAŁ I

Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi, i zostawali w bezczynności mówiąc: Oto myślemy o zbawieniu ojczyzny; ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby i tabór, i sanie zaprzężone psami, i trzoda renów z gałęzistymi rogami, i ludzie na łyżwach niosący oszczepy; był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z węzów nieżywych zamiast korony.

Więc moczarsz ów przybliżywszy się do gromady wygnańców przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych, także nieszczęśliwych, i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

Więc chcę być przyjacielem waszym i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwi.

Mówił jeszcze dłużej starzec ów i uszanowali go, i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego mówiąc: Oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych. Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: Zaprawdę nie znalazłem tu, czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś. Boże?

Ażaz każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie jest ziemia i życie właściwe? Dlaczegoż ci ludzie mają ginąć?

Wybiore więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni; aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.

To powiedziawszy przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady rzekł: Odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy boleśnych, a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czym pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmarłychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni.

Tak jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzycie a każdą czaszkę ich: nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: Dobrzem uczyniła.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą.

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

Powiedziałbym wam, dlaczego żyjecie i dlaczego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało: lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

A gorsze jest jutro życia niż jutro śmierci. Choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamana zgraje: Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? Oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.

Na to im odpowiedział Szaman: Słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedy go wywołał z płomieni? Spytajcie ludu mojego.

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a te słońce szczyrniało jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. O to proście Boga.

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły, i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.

Tak mówił Szaman; i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III

A oto raz nocą obudził Szaman Anhellego mówiąc mu: Nie spij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.

Wdziawszy więc białą szatę Anhelli udał się za starcem i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholeta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu Szaman rzekł: Powiedz! nie przebrałże miary ten ksiądz zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka; szcękając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że car jest głową wiary i że w nim jest Bóg, i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi Świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch Święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić, i stracę go w oczach dzieciątek.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przełęczony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owym próchnie człowieka chodziły skry... jak owe iskierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom rzekł: Nie lękajcie się. Bóg z wami.

Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciała wasze już wiedły.

I wyciągały do starca rączki owe dziecińcy krzycząc: Staruszk, weź nas z sobą!

I rzekł Szaman: Gdzież was zaprowadzę? Oto ja idę w drogę śmierci; chcecież, abym was wziął i ukrył pod płaszczem, i wysypał was z poły mojej przed Panem Bogiem?

Odpowiedziały mu dzieciątka: Weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: My Polaki, odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych – aż Szaman począł płakać uśmiechając się...

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu i na pole płaszczu jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV

I przechodził Szaman z Anhellim pustymi drogami Syberii, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni, przez kraty patrzących się na niebo smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludzi niosących trumny i zatrzymał je Szaman każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach, i rzekł: Szamanie, oto się boją, żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów; obudź tego starca z siwą brodą i z białymi włosami: bo mi się zdaje, że go znał żywym.

A Szaman spojrzawszy surowo rzekł: Cóż więc? Oto go wskreszę, a ty go znów zabijesz. Zaprawdę, i dwa razy go wskreszę, i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

Lecz niech będzie, jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały, a znalazły nas martwymi.

Tak mówiąc spojrzął Szaman na starca w trumnie i rzekł: Wstań! A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło patrząc się na ludzi jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas Anhelli rzekł: Witaj, człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmądrzych.

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczyl przed władzą i uczynił owe wyznanie winy, o którym słyszeliśmy?

Dlaczego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojej? Czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżżeś uczynił!

Zaszкодziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: Oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój nie spodziewając się nawet przebaczenia. A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów jęknąwszy umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: Zabiłeś go, Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którym nie wiedział przed śmiercią.

Lecz ja go wskreszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.

To powiedziawszy zbudził umarłego i podniósł się ów człowiek w trumnie łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: Przebac, bom nie wiedział, że mówię obmowę i oszczerstwo.

Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwóm gołębiom, które razem zlatują na proso.

Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyluszczaście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

Przebacz mi, że was równam ptakom bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

O nieszczęśliwi! Oto jeden na cmentarzu sybirskim szuka spoczynienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie, i rozłączeni, i umarli!

Usłyszawszy owe słowa wskrzeszony krzyknął: Mój brat! – i powalił się w trumnie, i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: Na cożeś mu powiedział o śmierci brata? Oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

Stało się! Niech zakryją te trumny i zanosą je na cmentarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych, którzy spią i odpoczywają.

ROZDZIAŁ V

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrowkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych, i pod szumiącymi lasami Syberii; spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen. A Szaman, ujrawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej, rzekł: Oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

A teraz opowiada siostronom swoim na dnie, że zobaczyła niebo, i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między innymi rybkami.

Słuchając więc powieści o niebiosach zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozprowadzającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są?

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholija i zamyślenie się zbyt o rzeczach duszy.

Dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

Mówię ci o tym, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.

Tak mówiąc nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi spostrzegłszy Szamana przybiegli ku niemu mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościlemy ci łożę w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi:

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: Oto opuściłeś nas! i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman uśmiechnąwszy się rzekł: Chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: Chcemy! uczyń to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego rzekł: Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uspił i duszę twoją wywoławszy z ciała pokazał ją tym ludziom?

Anhelli odpowiedział mu: Czyń, jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellego, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch mający postać piękną i barwy rozmaite, i skrzydła białe na ramionach.

A ujrawszy się wolnym poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka, i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku. A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli usiadł i zapytał, co się z nim stało.

Odpowiedzieli mu rybacy: Panie! widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi, oprócz słońca; i nic jaśniej migającego, oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń; jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii.

Słyszając o tym Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł: Prawdaż to jest? – a Szaman rzekł: Prawda – opętanyś jest przez anioła.

Cóż więc, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja będąc wolną? Powiedz, bo nie pamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: Oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżycy, i uciekała w tamtą stronę jak człowiek, co się spieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać mówiąc: Oto chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców barskich... ostatni.

Chata jego, ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębic, i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleby i jabłka czerwone, a potem zaczął jak zwykle rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze, i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tym, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek carowi, a był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnej zajechał przed chatę celnik i napiwszy się ze dzbana dopomniął się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczyć podatкови i służyć onego z bogacił.

A zabrawszy wszystko celnik wychodził z chaty mówiąc: Oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niej wziąć dziesięcinę. To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych, co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo nie upadały więcej.

I gołębie śpiące obudziły się myśląc, że już jest godzina ranna, i umywszy pióra wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki, tak że zostawiwszy cały podatek uciekli w przestachu i wsiadłszy na wóz odjechali.

A Szaman zawoławszy Anhellego rzekł: Chodźmy stąd! albowiem gospodarz pytać nas będzie, jaką władzę to czyniemy; a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.

Tak mówiąc otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII

I rzekł Szaman: Oto już nie będziemy cudów okazywać ani mocy bożej, która w nas jest, ale płakać będziemy; bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekreście, co je potępił, napisano było: Na wieki!...

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen:

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu, i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze; lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczeka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa i jedno echo, które mówi: Żałuję was.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonej głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych, co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem, kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant: Ten, o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyźnie.

A gdy przyszła wojna, siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosymi nogami; a gdy był ogień, przed szeregiem stał krzycząc: Za ojczyznę!... za ojczyznę!

I przywołał go biskup, i wydał katom w ręce, ale wprzód zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim, i wypuścił z rąk pastorał, i omdlał.

A katy pochycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potem go w niej zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

Więc przywieziono go do kopalni, i udawał, że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział, że był blady i smutny.

I poddał się rozpacz, i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego rzekłem: Bój się Boga! dlaczego się gryziesz?

I rzekł mi z wielką tajemnicą, jak człowiek obłąkany: Zapomniałem wyrazów pacierza... i pogroziwszy mi palcem, abym był cicho, odszedł.

I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności ołów zgniły i trucizną ową pożywał.

A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach jak zmoczone płótno namiotu, oczy zaś miał błyszczące.

A dziś nie wiem, jak umarł, bo oto spałem przy nim, a nie słyszałem, aby choć westchnął.

A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam, był człowiek uczciwy.

Więc Anhelli obróciwszy się do Szamana rzekł: To samobójca! Lecz Szaman zasłonił oczy i podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi rzekł: Ten ołów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił:

Weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspakaja. A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się!... podobny strzaskanej kolumnie.

Lecz przed wichry silnymi i wam padać wolno... będziecie żałowani.

Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? Kto wie, jaki jest sen w nie poświęconej mogile?

Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą... i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: Dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

Więc oto wiedz, że przed pięć dniami upadła skała i zawałiła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny stary z pięć synami, a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem, mówiąc: To długa praca, niech umrze.

A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją; lecz nie słysząc nic w tej jaskini, nawet jęku.

Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień; może jeszcze żyje ojciec lub które z dzieci jego.

Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale i stało się wielkie milczenie, a Szaman podniósłszy oczy w górę modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny, i wyrócił skałę, tak że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wzięwszy kaganiec wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeni widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies, co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte błyszcząły jak szkło, a czworo innych umarłych leżało w bliskości, leżąc jedni na drugich.

I spojrzawszy na nie Szaman rzekł: Co uczyniłem? Oto ojciec żyje, a synowie pomarli już. Dlaczegożem się modlił?

Tak mówiąc wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII

A przechodząc dalej, ujrzeni wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszedli nad jezioro podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzieś od światła kagańców.

I rzekł Szaman: Jestże to morze genezaretzańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną odpowiedział: Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać, i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionym i te wody miłymi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnymi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch prorocstwa i uczuł wstrząśnienie, które było w ojczyźnie, i rozповідаł nam przez noc całą to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: Oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! – i to powiedziawszy upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata później powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało, i policzywszy nocę poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcej: Oto człowiek, który leży pod nim, był wariatem i obłąkanym, i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu rzekł: Czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? Czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: Oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł Pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.

I podniósłszy oczy rzekł: Boże! Boże! prosiemy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że twój sąd nad nami jest zapadły... lecz nowo narodzeni niewinnymi są. Zlituj się, Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselemy się jak męczennicy; bo nie powiedziałaś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselemy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? Czy to jest anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.

I rzekli na to nędzarze: Oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem swoim przybyła i cierpi za serce człowieka.

Chodźcie! a pokażemy wam wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka. A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem klękawszy przed cesarzem błagał o życie, i dano mu je pogardziwszy nim.

Tak mówiąc przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak anieli niebiescy. Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szcęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go: co by to było, ów szcęk żelaza i bicie? A zaś aresztant odpowiedział: Karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy.

A udawszy się na miejsce męki Szaman z Anhellim ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a we środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słysząc było uderzenie łańcucha i szcęk drugi, wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litośnych.

Lecz starzec odebrawszy je upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie wołając jeden i drugi: Mój ojczel!...

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego nakrył mu głowę połą szaty swojej...

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej w niebytności Szamana klócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny!

Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lechem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabelle, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z Żydami i z Cyganami.

A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu i klócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada uzbroiwszy się w siekiery wyszła w pole odgrazając się, że u pierwszych dowie się, jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradzca: Oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pjanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego, jakie było w tym kraju, drzewa, i wystąpili trzej męczennicy, po jednym z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokim wzgórzu śniegowym, odezwał się głos z nieba, jakoby wicher, pytając: Co czynicie? – lecz go ci ludzie nie przelekli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: Równość! – a ten, co był z lewej, krzyczał: Krew! – wiszący zaś pośrodku mówił: Wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios półowicy i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone, i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: Źle czyniemy! Godziź się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinni?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: Oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: Chcecie, a zdejmujemy was? – lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznavszy to rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej i zadziwili się postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestachem: Co się stało?

A przyszedłszy bliżej strwożyli się widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał...

A powstawszy rzekł do Anhellego: Oto mi duch boży oznajmił winę tego ludu i wiem, dlaczego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmujemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.

Tak mówiąc zdejmowali owe zmarłe i skościałe na krzyżu i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i ucieszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpląkały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana, co to za anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu aniołowi spójrzył na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych szukał go oczyma i nie widząc nigdzie szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego spotknął się na nim i krzyknął boleśnie; ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: Wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy Anhelli oglądał się wokoło i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

Otom zobaczył anioła podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dlaczegoż nie powstanie wichur, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? dlaczego ja żyję?

Oto już jednego włosa nie ma na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A nie ma jednej kawki w powietrzu, która by nie spała przez jedną noc życia w spokojnym gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc, że oto już nie narodzę się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstawać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła, i wołałbym był wczoraj umrzeć.

A Szaman zapatrzywszy się w gwiazdy rzekł: Zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste anioły.

Cóż zrobię? – Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilije wodne i rozleciały się po gwiazdach różanych, i zamieszkały w tym, co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

A wieszli, kto to jest ten anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloë, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzie indziej napisano jest o anielicy tej i wnuczce Marii Panny... jak zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych cherubinów i umiłowala jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze, i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: Nie skarżcie się, lecz spijcie!

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać spod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i nie bezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieźdzą się, i kochają się nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.

Tak mówił i podniósł jedną z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyciągały główki przez miejsce, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość spiącego człowieka.

A wzięwszy ją rozgniewany Anhelli rzucił o ziemię mówiąc: Precz, kościele zhańbiony.

A płomień z ziemi wyszedłszy stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim i w ubraniu biskupim, z infułą i z krzyżem na głowie, a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: Oto przyszłście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Ręce moje łamały hostyją, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę mówiąc: Bądźcie przekłeci, burzyciele grobów.

Ażaz nie dosyć wycierpiałem na moim tronie i na biskupim oparty pastorał, modląc się za kraj, który miał ginać jak człowiek potępiony?

Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego mówiąc: Oto jest krzyż.

Nie poszedłem na wygnanie jak człowiek czysty? Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegoż więcej chcecie od ludzi, co umarli?

Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z nimi.

A to jest moja kość, ta kość spróchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja, a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? Gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberii, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej?

Tak skarżył się, i przeproszał go Anhelli za obelgę kości jego mówiąc: Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie. Myślałem, że się smucisz za wzgardę kości twojej... jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? Lecz niech tak będzie, jak się Bogu podobało.

A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym, i poszedłbyś jęcząc po świecie.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego i zrzuć ogniste szaty, i rozbierz się z płomieni.

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno, gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli wołając: Powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie...

Skoro to wyrzekł, usłyszał spod ziemi jakoby głosem tym, co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman mówiąc: Wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.

I zeszli ze wzgórza mogli modląc się.

ROZDZIAŁ XII

A gdy przyszedli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki i śmiech, i wrzaski, i szcęknięcie kielichów, i brudne pieśni; a stanąwszy Szaman pod oknami słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu i nie śmiano mu się uragać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące zaczął mówić zapalając się w smutku.

Cóżeście uczynili, rzekł, beze mnie? Widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem, zostanie z wami. Bądźcie potępieni, kłótlivi ludzie.

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zanoszą. Pomrzecie!

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

Dlaczegoście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie, w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

Oto obraziliście ludy tej ziemi i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

Spotkałże z was kiedy kto Ostiaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę! koło psa nie przeszedł żaden nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

Wyostrcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

Zbliża się Wielkanoc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? – Zaprawdę, nie krwią baranka.

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przełękli, lecz jeden z pjanych chwyciwszy za dzban gliniany rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ujawszy więc za topór Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman mówiąc: Bądź cierpliwy.

Kto tu za rok powróci, będzie płakał nad nimi; dlaczegóż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości?

Boże, nie karz ich.

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: Czarowniku, urzekłeś nas! oto dzban był pełny i wyschł.

A inni zajrzawszy w dzbany potwierdzili to zgodnie, mówiąc: Odczaruj nas albo cię ukarzymy śmiercią.

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania; a jeden wzięwszy nóż wraził go w piersi Szamana mówiąc: Oczarowałeś nas.

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta

Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką. A gdy wyszli na miejsce oświetlone gwiazdami, przemówił starzec: Nieście mnie blisko grobowców, bo już zasną.

Położyli go więc na jednej z mogił i zimno śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy starzec zawołał po trzykroć: Anhelli! Anhelli! Anhelli! – a głos jego był smutny.

I rzekł mu: Weź reny moje i pójdz na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

Weź z sobą tę niewiastę i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła jak tamci.

Cóż ci mówić będę? Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

Boś czysty był jak lilija biorąca z wody liście i kolory niewinne, boś mi był jak syn dobry.

Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej... Ani płacz myśląc, że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stapanie po śniegu i rzekł: Ktoś nadchodzi? Czy to śmierć stapa głośno?

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem zadziwione oczy napełnił wielkimi łzami; i odwrócił się od niego Szaman płacząc.

A po chwili przystąpiwszy doń Anhelli wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu i obróciwszy się do niewiasty rzekł: Chceszli mnie wziąć za brata? Chodź ze mną. A ta mu do nóg upadła mówiąc: Aniele mój.

Podniósł ją z ziemi Anhelli i udali się oboje na północ, a za nimi szli renowie Szamana wiedząc, że za nowymi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII

Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkim pożyciu Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liśćmi, i doła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zadrzeć ptakom skrzydeł niebieskich widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystymi, mówiąc: Oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić Go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegło niebem jak koń w zawodzie, z płomienistą grzywą i z białym czołem. Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liściowym pomiędzy renami swoimi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy zalane łzami wielkimi, rzekła Ellenai: Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: Czymże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajęczkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie – bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, którego doła zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce te, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinnie, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łóżem moim ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to anioł złoty stojący nade mną?

Reny wyciągają mech spod mojej pościeli i skubią łóżę śmierci jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowy Niebieskiej i będę się modliła do Niej.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanije do Matki Chrystusowej i właśnie wymówiwszy: „Różo złota!” – skoła.

I na znak cudu upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łóża płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest i myślał Anhelli, że reny szeleszczą wyjadając mech spod łóża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: Naszą jest!

Lecz róża owa cudowna dostawszy skrzydeł gołębih podleciała w górę i spójrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu krzycząc w ciemnym powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę stał cicho.

I rzekła do niego Eloë: Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed aniołem.

A Eloë uklękawszy nad śpiącą podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnymi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej i spojrzawszy na ściany zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach.

Zawołał Jehowa dwa odwieczne cherubiny przed tron swój i rzekł: Idźcie na równinę Syberii.

A patrząc w światło boże zrozumieli aniołowie, jaką była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce, gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się aniołowie ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieka.

I wzdrygnąwszy się rzekli: Ludzie, co czynicie? Aż to jest ofiara bogom piekielnym?

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a bogiem, który go przyjmie, jest głód. Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski ani król.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszymi i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności?

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem samojedów... Przeklęty!

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś anieli:

Nawróćcie się, rzekli, i proście Boga! Albowiem pokazemy wam znak jego gniewu, ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.

I roześmieli się głośno ci ludzie nie wiedząc, że z aniołami rozmawiali, i rzekli: Jakż jest znak?

A wyciągnąwszy rękę anieli pokazali na wielką tęczę, która przybiegła i położyła się na półowicy chmurnych niebios, mówiąc: Oto ten jest.

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich jakoby szklane nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa, i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV

Tego samego dnia przed wschodem słońca siedział Anelli na bryle lodu, na miejscu pustym, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: Poznałem was, nie kryjcie się; aniołami jesteście.

Przychodzicie, pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej; a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: Oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem...

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawiać przyszłości.

I rzekł im odpowiadając Anelli: Zaprawdę, urągacie mi mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas kiedy ja czekam śmierci, a w życiu moim widziałem tylko nędzę!

Czy przyszłście przerazić mnie wołając: Ciemności nadchodzą!? Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? Nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z bóleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilija na grobie ojca mego jest moją rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą. Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej i wyrosłem z twarzą smutną i przełknięą.

A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami, rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrich; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie! i powiedzcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjęta jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnymi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym – oto powiedzcie Mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej... to ją dam,

I przerwali mu anieli mówiąc: Gubisz się... żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los miljonów?

Możesz być wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestraszenia zgrai?

I ukorzył się Anhelli mówiąc: Anieli, przebaczenie mi! Uniosłem się i skrzydła myśli moich uniosły mnie.

Więc będę cierpieć jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie jak harfa z porwanymi strunami... do kogóż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje – jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

A wzrok mój – jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią złąknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim i staną przed oczyma jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułoić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczym, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? Czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zniosła mnie daleko, i już nie wrócę – nigdy!

I znowu przerwali mu anieli mówiąc: Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jakiś zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz... przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiej. A zaś aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI

A zostawszy sam Anhelli zawołał smutnym głosem: Więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spójrzył na nie Anhelli i zawołał: Gdzie wy lecicie, o mewy? I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: Lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja lub który z krewnych twoich i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia:

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim, i upadł. A słońce utonęło pod ziemią i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowym niebie, jak róż białych girlandy ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia jak fala zapieniona przed łodzią.

A w rękę rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa zawołał grzmiącym głosem: Tu był żołnierz, niech wstanie!

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa!

Nad krwawymi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów jak orły niebieskie i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz, a Eloë powstawszy znad trupa rzekła: Rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak dyjamentowe źródło i tak wonne jak lilije wiosenne.

To ciało do mnie należy i to serce moim było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej!

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloë usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ Z NEAPOLU

Pieśń I

WYJAZD Z NEAPOLU

1

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem, i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę, powie drugie canto.

2

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego?
Chrystusa diabeł kusił i mnie kusi.
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością i pokazał wszędzie
Pustynie mówiąc: „Tam ci lepiej będzie”

3

A jednak gdyby mniej pamięci bólu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą po lewicy.

4

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A między górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra – płomieniem,
A konstytucją buchnie wulkan prawy.

Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra Diabeł ruszyli z Abruzów...

5

To jest za króla ruszał się kardynał,
Za kardynałem Fra–diabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąbał do „Kyrie, elejson!”
Litanią świętych, wyręczył go Nelson.

6

Mówiłbym dalej, ale „Pan Podstoli”,
„Dziady”, a zwłaszcza tych „Dziadów” część czwarta,
Uczą porządku, w opowiadań roli
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta –
Mego pegaza wyskoki i liczne
Opowiadania semihistoryczne!

7

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiem w przypisku.

8

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,
To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych krysek,
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem;
Kto by pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem:
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłumokiem.

10

Wierście mi jednak, że lepsza od rymu
 (Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
 Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu,
 Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
 Carozze jego i cabrioletti
 Zalecam wszystkim... zowie się Paretti.

11

Zalecam nowy hotelik „Vittoria”,
 Który, staremu nie ująwszy sławy,
 Tak się podzielił famą, jak cykoria
 Wmieszana zgrabnie do mokańskiej kawy,
 I marmurami, wygodą i luksem
 Ze starym idzie jak Kastor z Pol[1]uksem.

12

Zalecam także (zostanę Astolfem,
 Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
 Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
 Na Świętej Łucji... a jeśliś bogatym,
 Jeśli ci kura złote nosi jaja,
 Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

13

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
 Że pohamować nie umiem weny,
 Z wieszczą zostanę prozaicznym gidem:
 Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
 Nad Cara[c]ciolim i kłąć Ferdynanda,
 Dziś piszę, jaka gdzie stoi loccanda.

14

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie,
 A jutro myśli wędrować po morzu,
 A pozajutro jeździć na wielbłądzie
 Nie jedząc mięsa ani spiąc na łożu,
 Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
 Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

15

Jeśli Europa jest nimfą, Neapol
Jest nimfy okiem błękitnym; Warszawa –
Sercem; cierniami w nodze – Sewastopol,
Azof, Odes[s]a, Petersburg, Mittawa;
Paryż – jej głową, a Londyn – kołnierzem
Nakrochmalonym, a zaś Rzym – szkaplerzem.

16

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte.
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte,
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Ze będę nieco zabawny, lecz skromny.

17

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo ekspir,
Z muzyki znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

18

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z plany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy pod górą, co ciska pioruny.

19

O Neapolu! gdzie jest twoja dusza?
Bo duszą twoją nie jest ruch i życie;
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękitnie
Tak roztopiony w zorzy malowidła
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła...

20

O Neapolu! wieczorne wyiewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą,
Harmonizujesz się tak jako śpiewy
Z ciszą powietrza, twe dzwony nie jęczą,
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękiecie chmurek.

21

Tylko po Chia i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rysztyki,
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie –
Wszystko się rusza. Grób wieszczą wysoki
Właśnie tam stoi, dove fa il torso
Ulica. Z grobu patrzyłem na Corso.

22

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie
Krolewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił, bom siedział na grobie.
Masztalerz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z krolewicami... Gdzie? zgadnąć nie mogę.

23

Choć bardzo lubię filozofią Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta;
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

24

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tym nie śni!...

25

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie
Albo Konwencji – i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon, kiep, na Atlantydzie.

26

Z grobowca wieszczka widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry – Castello del'Ovo,
Zamek podobny do sterczącej skały –
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole –

27

Szerniał przy fali migającej złocie,
A gdy na niebie szafirowym ze dna –
Gwiazd zapalonych wychodziło krocie,
I z okien zamku błysła gwiazda jedna,
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd u Karmelitów.

28

O gladiatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie.
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie.

29

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladej gałązki rwać będę,
A jeśli znajdę, że już spicie w grobie,
Liśćmi płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy,
Koście bez czaszek i trupy bez głowy.

30

O bracia moi łańcuchami zbrojni!
O! nie targajcie wy się jak w rozpaczyl!
O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
Słońce was jutro po kratach zobaczy
Bładszych wilgocią, strawą i myślami,
A ja was żegnam... Niech śmierć będzie z wami!

31

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylip[u] lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku „Eneidą”,

32

Most pod Tamizą jest kupców „Iliadą”,
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld jak wieszcz nad Hel[l]adą,
Czy też brzęczących kompania rapsodów –
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

33

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę.
W ciemny korytarz spadają latarnie
Jedna za drugą jak gwiazdeczki złote.
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada jak z dziurki od klucza.

34

I jeszcze wyżej wzniołszy się na duchu,
Powie ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latami łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w tej gwiazdeczki lazurowym łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

35

Rodzą się, rosną i w latami błyskach
Idą zwiększając długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu nie lękając się dyb i powroza
Zbieraj modele jak Salwator Roza.

36

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską,
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie jak na far-niente!

37

Dyjogenesów lud rynki zasiada;
„Czego chcesz?” – pyta Wolność lazaron,
„Zejdź z mego słońca” – nędzarz odpowiada;
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu – i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia... Wolność? czy lazaron?

38

Wolność... Już dla niej uszyto symarę
Z gazet „Giovine Italia”... Lazaron
Będzie żył, póki ma frutti di mare,
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? Dościga...

39

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiero się ledwo zieleni...
Kto temu winien? – Neapolitanki...
One to winne, że się lud nie budzi;
Bo któż z młodzieży umie robić ludzi?...

40

Ja wiem, że wiele winienem kochance:
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutne marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury – ak Korsarz i Giaur;

41

Ona uczyła mię chodzić jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast „Ojczenasz”
Lepszą modlitwą... księżycowo-wzdychanie...
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... Mam religią smutku...

42

I odpisałem... Co? już nie pamiętam...
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo – ani tak sucho jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrąca
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,
Patrzą na siebie niebem...” et caetera.

43

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa
Zagrała w sercu, i łzy moje płyną.
O Lutko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona,

44

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie,
Kart nie odwracaj... bo nim spocznię w grobie,
Będę ci śpiewał jak mrące łabędzie:
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze...

45

I lzy się żywe rozbiegną po łonie,
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli splakaną twarz ukryjesz w dłonie;
Ja wtenczas będę spokojny, jak w zorzy
Gwiazda niktąca bład – lub z obliczem
Pełnym promieni boskich... albo niczem.

46

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje, wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat... jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krań tonącego słońca – skrawo biały...

47

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niktąć,
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać,

48

Jeśli i Boga nie zwiódła udana
Spokojność moja – ta Chrystusa szata
Krwia poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne jak noce bezsennych –

49

To mojej duszy, dobytej z popiołów,
Da wiele ciszy; i na jaką bładą
Gwiazdę, do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. „Trupi prędko jadą” –
Mówi poeta ballad w „Leonorze”,
Więc na niemieckim chciałbym się upiorze

I ruszyć w podróż, bo się pieśń przewlecze
Niejedną jeszcze przerwana idea.
Jutro kurierem wyjeżdżam do Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać „Odysseą”
Albo wyprawę o Jazona runach –
Na nowej lutni i na złotych strunach.

Pieśń III

STATEK PAROWY

[1]

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słyhać dźwięk żelaza szklanny,
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak spod okrętu młyńskim bita kołem
Wytryska piana, a dym leci czołem.

[2]

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Stów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano–smolnym łonie wieloryba,
A jako niegdyś płynął Jonasz święty
W łonie okrętu bez desek i miedzi,
Wesoło, w licznym towarzystwie śledzi,

[3]

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych fląder, ostryg i czefalów,
Tak nasz kapitan i wódz packetbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry,
Nas ma za śledzie, ostrzygi i flądry.

[4]

Tu majtek rudel obraca mosiężny,
Dalej zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołączny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta,
Ubrane w takie ciało jak zwierzęta.

[5]

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze,
Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze.
A nam widniejsze góry na księżycu,

Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

[6]

Kapitan krzyknął Wirgilem: „Et tantae,
Tantaene divis coelestibus ira?”
Na to się podniósł graf Solomon z Zante,
Poeta grecki; ucho mu rozdziera
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek,
Więc chciał poprawić – lecz żałował słówek.

[7]

Może też słabość: bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiadano, że dwóch w służbie liczy.

[8]

Wielki poeto! jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczk
Stracon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki,
I twój z usłużnych lokajów pachalik
Świadczą, że jesteś coxcomb lub migdalik.

[9]

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawymi oczyma
Na świat patrząca, jak na przyszlą własność...
Z takim to niegdyś do wolności żarem
Przemówił ów graf i został Pindarem.

[10]

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj, co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszczki mali.
Szkoda, że zamiast wierszy chować w szafę,
Czyni z nich co dzień pan graf auto da fê!

[11]

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a z wierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystym
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,
Z podagrą w nogach... z tłumem sekretarzy.

[12]

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo! cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnej nie poniesie szkody.
Taki był pokład... Dalej biała linia
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

[13]

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna,
A między nimi z tłumoków pagórek
Żółtych i czarnych – a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

[14]

Przy piersi matek rozplakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

[15]

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącej wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

[16]

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichym, jasnolazurowym.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

[17]

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręcącą machinami skrzela.
Już zbłękitniało Korfu – już się kryje;
Już się fortece Santa Maura bielą,
A z drugiej strony przedzielona żwirem
Forteca Turków w górach pod Epirem.

[18]

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężycy,
Cicha jak kamień; kiedy zamek joński,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowej u boku.

[19]

A niech wie każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wstawioną biednej Saffo skokiem.

[20]

Znałem... lecz, szczęściem, uleczoną z żalu
Saffonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się, nieszczęściem, kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na wameńskim polu
Zwłoki, a uszy – w Konstantynopolu.

[21]

Smutna! ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

[22]

I przyszła sama smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „Oddajcie mi skarby!”
„Jakie?” – rzekł gruby emir bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w „Korynie”...

[23]

„Wróćcie mi, wróćcie!” – i znowu zamilka
Patrząc na skarbów zniżanych półpluton.
Zrozumiał emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się – jak bóg Pluton
Śmiał się zważając na prośby szalone
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

[24]

I musiał piekłu grać jak Paganini –
Na jednej strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć broken-h[e]arted,
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

[25]

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigulek z chleba!
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą;
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

[26]

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

[27]

Te same gwiazdy i ta sama skała,
Te same morze! Lecz gdzież na tej skale
Postać kochanki pogardzonej biała
Jak drugi księżyc? gdzie? Tu – o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Saffo śpi jakaś sama w kobiet sali...

[28]

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistym okiem, że się zeszyły końce
Rzęs długich, czarnych – i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu: nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

[29]

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu, a z wierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej niż żoną,
Więcej niż... diabła! niech dokończy zycer,
Że ją angielski porzucił oficer.

[30]

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu w noc ciemną
Przy skoku Saffo, a będziemy szczerzi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... Co za mną, tułaczem,
Biegło po morzu z przekleństwami i płaczem.

[31]

Sumnienie moje, niewidome światu,
Jak nereida wyszło z morza głębi,
Na czole pełne liliowego kwiatu,
I znów jak Wenus na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Półchrześcijańskie, półmitologiczne.

[32]

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? serce własne gryźć i kąsać;
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i płaszać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności piękne lub ohydne.

[33]

Ave, Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przyplływamy i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

[34]

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Nasze by damy mówiły koronki.)
„Bonjour!” – tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na jura,

[35]

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Z dała od ojca, matki i ojczyzny.
Może, czy wszyscy jeszcze żyją – nie wie,
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem.

[36]

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły,
Toby się sęki zasklepięte wiekiem
Same otwarty, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

[37]

Ale ten człowiek był jako Ilissos
Pod Atenami – bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam „Eptanissos”²,
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na której ludzie za pieniądze płyną.

[38]

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną; co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

[39]

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć – lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia – płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

[40]

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syjonie,
Jerozolimie, trapiąca boleśniej
Niż gród Chrystusa... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno! inni powrócą – spać będę.

² Siedem wysp.

Pieśń IV

GRECJA

[1]

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce trytonów;
Na głowie swojej miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeją pisząc, nie idyllią,
Powiem, że to był metr hotelu „Giglio”.

[2]

Stanął i zaczął trwożyć: „O! nie płyńcie
Na greckie brzegi, w Patras kwarantanna;
Lepiej do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztery
Przebyć kwarantannę od osp i cholery”.

[3]

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziej niż bohater Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: „Nic nie szkodzi—
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie;

[4]

A ty, co trwożysz, maleńki cyklopie,
Zamiast nas pozrzeć zatrzymanych trwoga,
A może miłych jakiej Penelopie,
Prowadź nas w miasto albo lotną nogą
Spiesząc przed nami, na stołach bez harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

[5]

Zamiast nas pozrzeć, my ciebie pozrzemy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym”.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepokodnym

Jako Eneasz modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiej siedzicie kwarantanie!”

[6]

A potem wszedłszy na fortecy góry,
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczyrych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

[7]

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoją kanapę i okno na morze,
Swoją miłą stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydłone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał
Patrząc na domek, gdzie kocha lub kochał.

[8]

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy.

[9]

I myśleć wtenczas... O fale! O fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem!
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę,
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obłonic
Błyska... Modlę się... lecz nie proszę o nic.

[10]

Miło być także na morzu ozłotnym
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym
I nie dzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

[11]

Chrystus nas woła: „Wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!...” Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem, wszystkie w kształcie lutni,
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

[12]

Godzina cicha, tajemnicza, senna,
Na wielkim morzu falą wahanemu;
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna –
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

[13]

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta,
W nozdrzach, jak w romu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem jak w nozdrzach arabskiego krwawy.

[14]

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyjanna,
Z gwiazd najświetniejsza a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku
Z błękitnej razem staje się zielona
Jak listek, potem czerwieniąc się kona.

[15]

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie ceniom końce,
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niej.

[16]

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potem ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty jako lekka chmura
Płynie w błękity... O, klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącej różami jutrzeńki.

[17]

I dzisiaj pełna jasnego brylantu
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnej fali, sponad gór Lepantu,
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło jak zegar wieczystego czasu
Nad błękitnymi górami Patrasu.

[18]

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. Słońce,
Pierwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogliom.

[19]

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owe miasto. – Cóż to? biedny ptaszek
Leci przez morza lazuruwe pole
I pada przy mnie na ławce, a potem
Kania, z ogromnym twardych piór łoskotem

[20]

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja – patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... Była to przepiórka.

[21]

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi!... Jak ta kania krąży
Żelaznym skrzydłem po morzu i niebie,
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem!...
Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.

[22]

Dla niego może kościuszkowskim czasem
Było zniszczenie w Missolungi gniazda,
A dziś – gdy kania z okropnym hałasem
Piór natężonych, jak lecąca jazda
Kirasyjerów na polach Grochowa,
Goniła. – Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!

[23]

Lub niech cię kania zje – boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczęta odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą – patrząc na błękitną wodę
Jako nad Styksem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

[24]

Stoi nad brzegiem nie owiana liściem
Zadnego drzewa, lecz na nią upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściami
Ciemność i światło, a każda z gór blada
Mgłą błękitną, a jedna z gór mroczna
Jak piramida stoi sześcioboczna.

[25]

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wstawił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

[26]

Nie uwieczniona śniegowymi srebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
Ale od bomby, kuli lub kin[d]żała,
Dałbym tej górze posepnej nazwisko
Grobu twojego – a Parnas tak blisko!

[27]

I mnie dziś łatwiej wleźć na szczyt Parnasu
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu.
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcz Europe – a republikanie
Za lat dwadzieścia... Kto wie, co się stanie!...

[28]

Wierzę w republik ojca jedynego,
Robespi[j]era (to „Trybuny” wina,
Że został ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitej jedynaka-syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować,

[29]

Potem zaś wstąpił do arystokracji
I trzy dni bawił, a po tej troszeczkę
Przyszedł w obliczu przyszłej generacji
Sądzić umarłych i żywych w książeczkę.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczątych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

[30]

I w obcowanie ich ducha z narodem,
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego; a gdyby mię śmiesznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym, grzeszny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

[31]

Zrobiwszy taki sumnienia examen,
Takie wyznanie, biedny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz „Amen”
Uwięzło nagle jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać, teraz z wielką biedą
Biję się w głowę, jak zakończyć „Credo”.

[32]

Wierzę, że idą ludy jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane;
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcjad żył i Temistokles;

[33]

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanarys,
Bo właśnie teraz wracam z jego domu,
Bo sam widziałem, jak błękitów farys,
Od ogniowego opalony gromu,
W Patrasie grecką dowodzi flotyllą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

[34]

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów – dziś spokojny mieszka
W domku glinianym jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi – przed progiem
Odlam marmuru, co był kiedyś bogiem.

[35]

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficie powietrza niż gliny,
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczulki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro – wejście, pierwsza próba,
Już było dla mnie jako sen Jakuba.

[36]

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Nezabudkami rzeczulkę – na zdroju
Miejsce kładkową przeskoczono deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki,
Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.

[37]

Nie wiem, dlaczego – lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć
Świerszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę – czytać albo marzyć...
I tak czytałem niegdyś walkę Greka,
Jak dziecko, które czegoś chce – i czeka.

[38]

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać
(Rankiem... kąpała się Lutka w tej wodzie),
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może spod wielkiej jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

[39]

I czytam marząc, jako Ipsyllanty
Zwyciężył – ginął... i dał Grecji brata,
A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatkach przylata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

[40]

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny,
Każdy z nich mocny... każdy bez nadziei...
Skąd są? – powstałi z mogił Cheronei...³

³ Ostatnia batalia Greków przeciw Aleksandrowi.

[41]

Wszyscy – prócz wodza... Ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy,
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły – i pomnik rozpadł się na ćwierci.

[42]

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotnym polu
Jak wielkim prochem rozsądzone kusze,
A głowa pełna przedwiecznego bólu
Padła na ziemię – zda się, że spoczywa
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

[43]

Długo Grek patrzył na tę lwicy głowę
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki;
Snycerz dał smutną marmurowi mowę.
Patrząc – słyszałem dwa słowa Kościuszki:
„Finis Poloniae”, przechowane w głazie
Jak łza w kamieniu – albo myśl w obrazie.

[44]

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego wśród liści jaśniej...
Ach nie! to tylko białe gołębicę
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko, na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał – to jeszcze nie ona.

[45]

Pieniędzy krzyczą – Grek rzuca na szalę
Dyjamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze... rzucił miecza stale,
Płaćcie żelazem... Już Ibrahim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak wałaca się z gór piramida,

[46]

Spada na Grecją. – Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Kserksesa przelazł,
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc nie drzeli – i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwóm baszom – i czeka.

[47]

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko – czekam, aż ożyje –
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa,
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu na ząbek.

[48]

Lecz wtem nadzieja odbiegła mię wszystka;
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie, i życie rycerza,
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę...

[49]

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek – czy mnie kocha –
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiem, jaki los tamte pochłonał,
Ale ostatni – pamiętam – utonął...

[50]

I znowu książkę rozłożyłem białą,
I zimne karty zacząłem całować
Wołając: „Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mię nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową –
Z umarłym sercem i z twarzą surową...”

[51]

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężalem członki krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzaris
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwały,
Botzaris w baszy namiot wpadł – umarły...

[52]

I odezwały się w górach klasztory,
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory,
Lecz jakieś wielkie pomieszane tony
Płaczu, rozpaczy, wyjące po skałach.
I większy zemsty głos zamknięty w działach.

[53]

A wielkie morze, lazuruowe morze,
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... Ciebie teraz porze
Między flotami tureckimi Miaulis;
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanarys brulotem oświeca.

[54]

Obadwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu – prędkim idą lotem;
A ów Kanarys zda się jak centaury –
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy – czy ma twarz aniołów?

[55]

Czy pod nim jako pod niebieskim duchem
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

[56]

Sułtan go widzi... lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce
Wodza greckiego. – Oto konik polny
Usiadł przede mną na cichej rzeczulce
I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka
Błyszcząc się w słońcu by tęczy perełka,

[57]

I suchą nogą na źdźble żółtej słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczulki załomy,
I port w rozchwianej znajdzie niezabudce
Albo popłynie dalej z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

[58]

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarysem
Płynęła za nim... w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu – z oczyma w błękicie.

[59]

O, przyszłość! przyszłość! Jam się tak do ciebie
Uśmiechał dzieckiem – ty z taką światłością
Dni moje siałaś jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
Kwiat spodziewany na wątlej łodydze
Życia mojego – rozwinął się... Widzę...

[60]

Co? jeszcze w myślach owa przyszła chwila,
Jesz[cz]e marzone dawniej Greków twarze,
Jeszcze Kanarys na słomce motyla,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą – i dawne łzy ronić,

[61]

I być zbudzonym –jak dawniej – nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło,
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrzac... patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy...

Pieśń V

PODRÓŻ KONNA

[1]

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła – takeś Ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste!⁴

[2]

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień,
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień –
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci – zabitych.

[3]

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,
Pytałem znanej mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;
Musi znać leki – bo zna wszystkie bliźny.

[4]

Pytałem Greka, ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza.
Moje pytanie było jak Hamleta
Metafizyczne słowo, czy śni dusza,
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nie rozwiązane dotąd... przez człowieka.

[5]

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,
Moim pytaniem na zbawcę pasować;

⁴ Oda Manzonięgo na Zmartwychwstanie J. Chr.

Bo też mu złotych brakło milijona,
A mógłby spalić Stambuł⁵ zamordować
Tyle wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

[6]

I czym podpisać na wolność firmy,
I Kanarysa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą... Dzisiaj Rigny – Navarino
Kanarysowi wykradły jak Parys
Helenę sławy. – Czy cierpi Kanarys?

[7]

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Dolecieć – patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? Myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

[8]

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! cygaro hawańskie zapalę
Tymi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą...

[9]

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne,
W laur przemienione, kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki – to nie moja wina.

[10]

Może bym także chciał (to wszystko mary),
By jaki człowiek spotkawszy w ulicy

⁵ Był pod Stambułem i Aleksandrią.

Moją figurę... włożył okulary...
Po diabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
„Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła...”

[11]

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanej sławy;
Dlatego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło... gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby spod pras Bogumiła Korna.

[12]

O moja głupia muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna... mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą...

[13]

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha – tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą
Wieńcząc go świeżą, laurową erratą.

[14]

O mój księgarzu wrocławski! o Kornie!
Dokończ tej strofy!... Dalibóg, zaczęta
I pindarycznie, żywo i wytwornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:
„Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze”.

[15]

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie,
A będą mocne – i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;

Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszczowie po Parnasie...

[16]

Lecz ja... Dobranoc! Jutro zorza złota
Ujrzy mię... w siodle i na Rossynancie,
Tam gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę. – Mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazuruwie
Jak cień Quichota... w Cerwantesa głowie.

[17]

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka:
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,
Który albańskie rozwiawszy wyloty
Jechał na koniu gdyby motyl złoty.

[18]

Na kapeluszu słomianym miał mycę,
Do roziskrzonych podobną płomyków,
Ze sztuki płótna marszczoną spódnice;
Gadał mozaiką dziesięciu języków,
Śmiał się jak dziecko, a dzieckiem był prawie,
Śpiewał, jak polny konik śpiewa w trawie.

[19]

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany za wcześnie
Z ojcowskiej chaty, w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa
Na litografii zgonu Botzarisa.

[20]

Są twarze w ludach powszechnie. C'est tout clair –
Tłumaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Puckler-
Muskau, co z naszym podróżował gidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy na Parnasu górę;

[21]

Który się nie kładł spać, aż była czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta,
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą – do Stras[s]burga;

[22]

Który – to zawsze mówię o tym księciu:
Niechaj pamięta autor o autorze –
Który zasnąwszy wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony... spytał się: „W jakim kolorze?”
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie, powiedział: „W zielonym...”

[23]

Który się na to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się – po kilku chwilkach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach...
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ot[t]ona.
O zemsto... mówią, żeś słodka – ty słona,

[24]

Zwłaszcza gdy ciebie Pu[c]kler w sól at[t]ycką
Całą osypie... i da na zabawkę
Figure wroga – pod Momusa mycką,
Osolonego solą jak pijawkę;
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele... pan Ot[t]on... na króla urzędzie...

[25]

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna...
Sparta zostanie na światowej karcie
Spartą... historia straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju spartańskich kartofli...

[26]

Adieu, Pu[c]klerze, bo mi nie do uszu
Twe imię w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak Egida...

[27]

Bądź zdrow!... a jednak miałbym prośbę małą
Do waszej mości książęco–autorskiej,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu – skreślił. – Na szkapie cecorskiej
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury... –

[28]

„Trudno znać siebie” – powiada przysłowie,
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie
Przez te szkła biedne, które w naszej głowie
Oprawił Stwórca kryjąc się na niebie,
Tak że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz – widzenia godna...

[29]

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas – my sami... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło i sława,
Często niewierna, wszak wiecie – kobieta,
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrząc na siebie... i są szóstym zmysłem...

[30]

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widzieć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy... nie wymalowany...

[31]

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szcześnieśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszej chwili
Na każdej ścianie. A niech nikt nie szydzi
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy – aż skona”.

[32]

Zaprawdę, ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filoz[of]ów wielu,
Ze... Lecz nadzwyczaj stają się rozwlekły,
Więc nic nie powiem – i prosto do celu,
Nie zatrzymany strofą ni morałem,
Na moim koniu biednym pędzę czwałem.

[33]

Hop! hop... jak upiór... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona
Kolą w bok konia jakoby ostrogi,
A moja szkapa z wiatrami puszczone
Pędzi, jak gdyby czuła żółb koniczyn;
Lecz wtem... zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

[34]

Primo: towarzysz mój (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę)
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę
I chociaż mogło iść o własnej mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy...

[35]

I tak się razem nieśli... O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan...
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żółwia nogach, w szyldkretu czerepie,

[36]

Tak ja po greckich w gimnazyj naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno...
Który w tej chwili przez niemożność skoku
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku.

[37]

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą...
Jeden jak Turek miał turban na skroni,
Drugi jak ojciec podobny do syna –
Belwederskiego miał twarz Apol[li]na.

[38]

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto, że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
Przeszkodą – wprawdzie dla Mojżesza małą...
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą.

[39]

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze... Czy w cudy wierzycie?
Z fali stracona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie,
Wyszła... figowe pokazując godła
Światu – a mnie zaś przez fale przewiodła...

[40]

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą,
Inni spoczęli przy chruścianej ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę w rododendrów krzaku.

[41]

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginął,
I myśl smutniejsza przyszła mnie kołysać
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

[42]

Smutne! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć... lub łza emigranta...
Nie – ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biednego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

[43]

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
potem doznało takiej wielkiej przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potem milczenie... nic nie słycać więcej...

[44]

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potem, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków – a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

[45]

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnej mogiły... i czyś[ć]ca męczarnie
Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie,
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

[46]

A tu bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiodł... że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wylupić oko,
Więc... trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę...

Pieśń VI

NOCLEG W VOSTIZY

[1]

Dalej, mój koniu! powoli – dość czasu –
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mnie droga prowadzi z Patrasu:
Po prawej stronie góry, z lewej morze,
Za morzem znowu i skały, i góry,
Nad nimi niebo błękitne bez chmury –

[2]

Nie ma ta ziemia czego złożyć w styrcie;
Koń dzwoni w głazy, depce chwast, dziewanny;
Czasem przy drodze w rozłożystym mircie
Widać rudera tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc... nawet Grecy smętni...

[3]

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty... i tak liściem szumią
Nad fontannami jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecji) Feba.

[4]

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze,
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado... tuż przy konia nodze
I padną blisko... i znów cisza wielka.
Jaskółek żadna nie wyszle ci belka...

[5]

Niebo, tych czarnych gwiazdek pozbawione,
Wiecznie błękitne, zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości – leży zamyślane
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym

Tylko samemu Bogu, co w nim duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dzuma.

[6]

Ząbek się lasu dopióro wyrzyna;
Małe sosenki jako pszczoły brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A tego kraju ludzie nie zamęczą,
Może zobaczy Grecją pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych – i w lasy.

[7]

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach – głuchych;
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnej. My przy źródłach suchych
Szukamy wody, spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? – Nie wiem.

[8]

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wręście do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki, dąb stary,
Na podniesieniu z głazów przy ulicy
Siedział spokojny. O tej to godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

[9]

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugim poety mieszkaniem,
Głośna słowików – szpaków narzekaniem,

[10]

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole,
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki,
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy...
Szumiała cicho, pełna tajemnicy...

[11]

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ten dąb turecki:
Smucił mię także – lecz nie wiem, dlaczego...
Bezużyteczny liśćmi i chłodem,
Okno zadziwia wielkim pnia obwodem...

[12]

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żalność
Nad tymi, co go znali... Stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałność
Tytanów dawnych... W tej świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

[13]

O mój turecki dębie! dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem;
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętym czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianym jak skrzydło anioła.

[14]

Szczęśliwi ludzie, których anioł dźrzyży
W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,
Co mają drzewa – na miejscu oberży –
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje –
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
Nagle krzyknąłem: „Do kroćset tysięcy

[15]

Milionów...” tu mi kochany Eurypid
Słowo eumenid dał do wykrzyknika,
A mój towarzysz rzekł: „Mais c'est insipide
Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano! – tak się zwał nasz sługa –
W Vostizy musi być oberża druga!”

[16]

„Non c'è” – rzekł sługa. „Więc spać tu – na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywy krata,
Pajęczynami wybita czamem!”
A ja dodałem: „Jak horyzont świata
Zawarty zewsząd... bez okien, któredy
Dusza by mogła wyjść za zmysłów błędy...”

[17]

I zakończyłem słowami: „Daj świecy!”
„Świecy? – rzekł kompan – wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabańnicy!”
Rzekłem: „Giuliano, hej! tho se mu krassi..⁶
Gorzkie jak piołun – niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? – nie ma... więc tho se mu psami!”

[18]

To się po grecku znaczy: „daj mi chleba!”
Przyniósł... postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: „Czego panom trzeba?”
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przecuciem nieszczęśliwych wrózek,
Nie spodziewając się... wołałem: „Łózek...”

[19]

I światła... światła... tu jak na biegunie
Północnym ciemno – i wiatr wszędy świszczę;
Pusto jak w zgniłym orzechu–świstunie...”
Tu mój towarzysz rzekł: „Więc ja przepiszczę
Na hebanowym moim flazeolecie
Tę noc, przepędzę ją najlepiej w świecie”.

[20]

I już wyciągał wiatrobrzmiący bardon –
Lecz ledwie zaczął [donośnie w] otwory
Przegrywać – jakiś głos: „I beg you[r] pardon,
But I don't like the music, I am sorry” –
Z prawej się strony wydobył przez kratki:
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

⁶ Wino w całej Grecji zaprawiają żywicą.

[21]

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików
I dwa napięte jak stuny krosienka;
To były łóżka... Jeśli kto nie wierzy,
Tłumaczę jaśniej: to, na czym się leży...

[22]

Ach, leży tylko – bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas – i wiatr z nami pisał,
A dar krosienek... jako Dejaniry
Koszula – gdzie się go dotkniesz... tam kąsał;
Ach, jam się dotknął – i ogień mię złapał,
I byłem w piekle; mój towarzysz chrapał.

[23]

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle, na ruin terasie –
W usposobieniu umysłu vehmicznym –
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: „Biada! biada! biada!”

[24]

Gdy patrzy w słońce o zachodzie krwawsze;
Kiedy się żegna z kim i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokim: „Na zawsze!”
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
Dobędzie noża – i obcina skoki...
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

[25]

W chwili gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią; gdy go wnuki
Obsiadą; gdy kraj obroni jak Hektor
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów;
Gdy wygra partią bilardu lub szachów...

[26]

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile...
Albo gdy mówi doń kto: „Czy pamiętasz
Paryż?...” – Są różne poetyczne chwile:
Kiedy na przykład w towarzystwie znanym
Siądziesz pośrodku – na cenzurowanym...

[27]

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w napoliońskie wierząc przeznaczenie
Słuchasz bez drzenia – kul lecących świstu...
Gdy „Comte” przeczytasz na kopercie listu;

[28]

Gdy... i tam dalej... Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła mię do snu kołysać...
Przy dwóch światełkach jak gwiazdy niejasnych
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać
Czekając zorzy różanego świtu...
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

[29]

I zawołałem: „Ty spisz, Eneaszu,
A tu deszcz na nas... leje się z dachówek!”
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcej do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcej zdolni niż łyzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić...

[30]

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi –
Ach, nie framugi – zaczęte kominy,
Więc ja jak krótki – mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci,
W niszach przeciwnych – kto by rzekł, że święci...

[31]

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie.
Każdy z nas biały... jak w operze „Zampy”
Wiedźma z marmuru – bardzo nieostrożnie
Pierścieniem złotym za żonę pojęta,
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta,

[32]

Lub jako mumia w ścianie piramidy –
Niech porównania dalej lecą klusem.
Byliśmy jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystej obrusem,
Stojący sucho w wodnej samolówce,
Który czytelnik zobaczy w „Sofiówce”.

[33]

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żalonym rzekł: „Czy żyjesz?” – „Żyję”. –
A on mi znowu rzekł: „O czym ty marzysz?”
A ja mu rzekłem... że się nie ukryje
Żadna zasługa – pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

[34]

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi –
Nie spali ogień... A kompan: „Nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...”
A ja mu na to: „Cierp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny...

[35]

I kiedyś w późne wieki... wstanie mściciel,
I tu postawi hotel... mości panie!
Tu, na tym miejscu, gdzie teraz Jan Chrzyciel
Mógłby duszeczki kapać jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy – ja ci przepowiadam,
Że stanie hotel... tu, gdzie w nurty padam,

[36]

W nurty natchnienia... myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy – Eneja, Ulissa...”
A mój towarzysz rzekł mi: „Ja się nudzę
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecja – c’est ennuyeux en diable,
Ja cały mokry – mais c’est insupportable!

[37]

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem... tam na łóżku leży...”
A ja mu na to: „Mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czym pożytecznym:
Lub o zbawieniu, lub o ogniu wiecznym...

[38]

Albo spiewa[j]my sobie kontredansy
Tańczone dawniej – ja dyszkantem wlekę –
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę...
Ty licz, ja będę tron mowcy dziedziczył;
Jeśli chcesz... ty mów – a ja będę liczył...

[39]

Czy znasz Byrona? – nie?... to wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajłd Haro[1]d niegdyś był w Grecji... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały...
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie [jednej] Sokrata rozmowy...

[40]

«Chodźmy – rzekł – w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonej odpocząć murawie;
Oba zanurzymy tu stopy w strumieniu;
Jak tu cień miły... jak te świerszcze w trawie
Śpiewają słońcu...» Dalej w sprzeczce walnej
Sokrat piękności daje idealnej

[41]

Rysy, granice... i w mgliste przezrocze
Obwija posąg – cudownego wdzięku;

A strumień żywy stopy mu łaskocze” –
Tu nasz Juliano – z latareńką w ręku
Wszedł... i zobaczył... nasze dwie figury
Jak dwa posągi oprawione w mury,

[42]

Z lampami w nogach... Rzekłem: „Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol”. – Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy oba – a jeśli was nudzi
Ta pieśń... pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży... łózek – i nas razem.

Pieśń VII

MEGASPILLEON KLASZTOR

[1]

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... Charakteru wina,
A raczej nerwów rozchwilanych skutek,
Brak sentymentu – że w trop Lamartina
Idąc nie łączę... w pieniach – o, herezja!
Trzech westchnień ciągłych: „Miłość! Bóg! Poezja!”

[2]

Miłość od Boga staje się odporem –
Spytaj się o to panny Chołonie[w]skiej,
Co rządzi młodych panienek klasztorem –
Miłość (prócz czystej miłości niebieskiej)
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt.
Nie wolno kochać, jak Święty Sakrament –

[3]

Lecz pierwsza miłość – pierwsza! platoniczna –
O! wstaw się za mną, o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna –
Widziałem Ciebie – dziś pod tęczą ranną
Nad błękitami Lepantu, w niebiosach,
W tęczy, na chmury rozplakanej włosach...

[4]

Poezja także często walczy z Bogiem,
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie
Jak „Pan Tadeusz” obeznany z rogiem.
Bóg Lamartina jest w złym towarzystwie;
Chrystusa trzeba dać do takich kmostrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

[5]

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawilość
Teologiczną, przyjmuję za godło

Tych kart – Poezją, Chrystusa i Miłość –
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę, od boru do boru –
Do Megaspillon na tę noc klasztoru.

[6]

A ty, Poezjo, nie bądź więcej śmieszką [?],
Ale opowiedz – jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką,
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym pode mną
I za otchłanią mórz błękitnie ciemną,

[7]

Jak o południu cień kolczatej gruszy
Osłonił całą podróźnych gromadę...
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ogień w oczach słońca blade,
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakośmy orłów słyszeli krakanie...

[8]

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas – szukane oczyma –
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny – maczugą olbrzyma
Albo Rolanda rozcięte zamachem.
Powietrze cząbrów poiło zapachem...

[9]

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspillon,
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi – tak długo jak Ilion
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta – cudem boskim zdrowa...

[10]

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę –
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżej... tam – tam – aż pod chmurę!

O! jaki widok!... Skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Cal[il]ota⁷;

[11]

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana jak mnóstwem napisów –
Mnóstwami domków, a jaskółka śmiała –
Ów miły piastun wieśniaczy i boży –
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

[12]

Cała budowa jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice,
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki – krużganki, kominy

[13]

I galeryjki, i sine okienka,
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka
W jedną podstawę – pożegnaj się z wieżą
I z dzwonnicy, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił

[14]

I sobie całą ułożył strukturę,
Zanieś to wszystko – wyobraźni okiem –
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem,
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę... i jaskółczy domek...

[15]

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem,
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem

⁷ Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych.

I zda się lekkim pajęczyny włóknem,
W promieniach słońca jasne każdym oknem.

[16]

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją – i za drzewy znika,
I znów jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy spoza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska, znika – i śni się na jawie:

[17]

A będziesz widział; nie widzisz?... więc próżno!
Ja doskonale nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczej z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał – w Jeruzalem.

[18]

Tymczasem... co to... wiosenny skowronek
Śpiewa nad nami w obłoków błękicie?
Nie, to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę cicha...

[19]

Oczy po takim ciągłym wniebowzięciu
Patrzą w obłoki... a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnymi brodami,
Snuło się w słońca złotego odbłysku
Jak rój komarów lub mrówki w mrowisku,

[20]

Lub jak rój pszczelni – bo tak doskonale
W plastrze tyńkowym porobił komory,
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory,
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: „Ludzie wy? czy pszczoły?”

[21]

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przyklepionym na skale [?] listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

[22]

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę
Patrząc na tyńku odpadłego łate,
Na korytarze wasze, co jak bluszcze
Idą na skałę – kręte, węzłowate,
Na źródło wasze cudowne, na składy,
O moje małe bezpłciowe owady!

[23]

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do karbony –
Nie obrazowi, lecz na miłość własną
Rzucając blaski – wy, kraczące wrony,
W kraju bezpłodnym – i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić – lecz i orać trzeba!

[24]

A taż to beczka! (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam [?] tylko boże słowa)
Ta beczka – votum chorego człowieka,
Którą dał biedny – ach, nie mnie, Jehowie,
Lecz wam – za cudem odzyskane zdrowie...

[25]

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota,
Życie podobne do próżniackiej chwili
I wasza grubość chłopska – nie prostota,
I wasze kłamstwo cudów... i tam dalej,
Weź, Lucyferze... niech ich piekło spali...”

[26]

Tu się jednego twarz archimandryty
Odwróci z jednym mnichów pokoleniem
I rzeknie Bogu: „Nasz dom, nie zdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże... a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem – grzechów trumny –

[27]

A ślad na skale gmachu – jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek,
A pomyśl – kiedyś zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas widziałbyś – dla mrących z przestachu
Aniołem–stróżem każdy kamień gmachu.

[28]

I gmach się wtenczas cały w lud zamienił...
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnóże... i do naszych stołów
Siadało wiele... nas, mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierót płaczących... i głodnych...

[29]

I w nocy pełnej pioruna i błysku
Sam szedłem – własne zapalić szpichlerze⁸
Co pod nogami na skały urwisku
Stały – ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

[30]

Potem z klasztoru patrzaliśmy, mnichy,
Na mur – poryty ognistymi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichey,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani – co tam, widzisz, Boże,
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

⁸ Budynek spalony.

[31]

Niejeden mrący, spragniony i ranny –
W ostatniej chwili usłyszał nad sobą
Płacz... brylantowej cudami fontanny,
Otworzył usta – westchnął – i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących – nazwaliśmy cudem”

[32]

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
„A owa! owa – w tysiącny[m] ósmsetnym
Trzydziestym szóstym... (nie myślę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świeża
Data i dzień ten) – dana mi wieczerza?

[33]

Sam ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o Archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków, twego chleba żyto –
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francja,
Że czczę papieża... Lecz gdzie tolerancja?...

[34]

Czyli dlatego, że wam do kościoła
Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki..”⁹
Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
A ja na łonie tureckiej poduszki
Budząc się, widma spłoszyłem niesforne;
Słońce błyszczało przez szyby klasztorne.

[35]

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę lub na sklep... gdzie prix fixe
Błyszczą klejnoty, lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfiks,
Albo na rzymskich kościołów mozaiki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki;

⁹ Obraz istotnie przysłany z Moskwy.

[36]

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka
Albo na czoło umarłej kobiety,
Albo na skrzydła pływające ptaka,
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą...

[37]

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statwę Kopernika,
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą...

[38]

W komnacie mnisiej, otoczonej wkoło
Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło
I snów zwichrzonych rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych całodzienne.

Pieśń VIII

GRÓB AGAMEMNONA

[1]

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtórjuje myśli posepnej i ciemnej,
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!

[2]

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słyhać!
Druidyczna to z głązów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos – ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: „Jak mi smutno!”

[3]

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów – a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy,

[4]

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Straszny jest rapsodu końcem
Owe sykanie, co się w grobach słyszy –
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

[5]

O! cichy jestem jak wy, o Atrydzi!
Których popioły śpią pod świerszczów strażą.
Ani mię teraz moja małość wstydy,
Ani się myśli tak jak orły ważą.

Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

[6]

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu;

[7]

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło,
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,
Blask – była struna to z harfy Homera;

[8]

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułoić i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu, i złości
Nad wielkim niczym grobów i milczącą
Garstką popiołów – ale w moim ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

[9]

Tak więc – to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych – i tak pełny wstrętu...
Na koń! chcę słońca, wichru i tętentu!

[10]

Na koń!... Tu łozem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i z wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wichur gnał błyskawicowy,
Lecę, a koń się na powietrzu kładnie;
Jeśli napotka grób rycerzy – padnie.

[11]

Na Termopilach? – Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi,
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla mało wiernych serc podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest – naszej.

[12]

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów,
Bo jestem z kraju smutnego ilotów,
Z kraju – gdzie rozpacz nie sypie kurhanów,
Z kraju – gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pól – rycerzy – żywych.

[13]

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wązowym szlaku;
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce skruszy wstyd – w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem –
Nie – pierwej skonam, niż tam iść – z łańcuchem.

[14]

Na Termopilach – jaką bym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe
Potem spytali wręcz: „*Wiele was było?*” –
Zapomnij, że jest długi wieków przedział. –
Gdyby spytali tak – cóż bym powiedział?

[15]

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza,
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary.

[16]

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie
I grób – i oczy otworzone w grobie!

[17]

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę – Dejaniry palącą koszulę:
A wstań jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga – w styksowym wykąpana mule,
Nowa – nagością żelazną bezczelna –
Nie zawstydzona niczym – nieśmiertelna!

[18]

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przeleknie,
Że taki wielki posąg – z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok – życia rumieniec.

[19]

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą;
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą.
Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
W sercu – gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
Mówię – bom smutny – i sam pełen winy.

[20]

Przeklnij – lecz ciebie przepędzi ma dusza
Jak eumenida – przez wężowe różgi,
Boś ty jedyny syn Prometeusza:
Sęp ci wyjada nie serce – lecz mózgi.
Choć muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew – i zatargam.

[21]

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna,
Lecz wiedz – że ręka przekleństw wyciągnięta
Nade mną – zwinie się w lęk jak gadzina
I z ramion ci się odkruszy zeschnięta,
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć – niewolnico!

[22]

Nie! nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klękne, nawet przed klęczącą,
Boja mam inną, smutną matkę – chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam... co mi jest matką...

[23]

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich
Chciałbym już posłać prochów moich urnę...
Wrzuć w proch ten – dwoje obrączek małżeńskich,
Zaklnij Dyjannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

[24]

Teraz nie jestem niczym – a te mary,
Co okrzyły mnie... wzywają dalej
I pokazują girlandy i gwary
Anielskich duchów... Pójdę... krew mnie pali;
Już osądzony, śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

[25]

Tyś uśmiechała się – to było wczora,
Kiedyś mię smutnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego – nad śmiercią Hektora.
Nie był to głupi płacz – ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy... co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój – ach! łzy stokroć gorsze.

[26]

Żurawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moją pieśń ponurą,
Zanieście z sobą... może przyszłej nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałośny brzmiąc w krainach ducha.

[27]

Żurawie! wy, co w powietrze różane
Co rano długą wzlatajcie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy – i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami?

[28]

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny...
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny,
I z dziką kiedyś pożegnany tęsknotą
Wasz łańcuch – zorzą pochłonięty złotą.

[29]

Dziś ta godzina przyszła... bądźcie zdrowe!
Tam Archipeląg mnie woła błękitny,
Tam Korynt trzyma koronową głowę,
A za Lepantem Parnas starożytny...
O muzo moja! jakże ty pozdrowisz
Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

[30]

O romantyczna muzo, na kolana!
Bo ja ukłony mam tu dla tej góry
Od lipy wonnej klasycznego Jana
I od śpiewaka dzieci i tonsury,
I od śpiewaka Potockich ogrojca,
I cichy... łzawy pokłon mego ojca.

[31]

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem,
Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
Oto mi nawet szeleści nad uchem
Figowe drzewo... jakby – szmerem skargi...
Słyszę... głos mi już ojca niepamiętny,
Lecz jego musi to być głos – bo smętny.

[32]

Więc smutnym głosem i niedomówionym
Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym
Jak wulkan krwawy... o, pęknij na ćwierci...
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem
Albo za wczesnym rannych kurów pianiem.

.....

Pieśń IX

[1]

Jest na korynckiej górze mała grotka,
Figowym drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały – żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

[2]

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci jak tu, w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślane odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

[3]

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt... Już myślisz... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj... to chatek gromady,
Nad nimi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn – ten kościółek.

[4]

Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce –
Czarne od prochu korynckie rodzyńki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze... w dudki z trzciny wycięte grali,
Kilka baranów sennych i tam dalej...

[5]

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowymi

Takimi są tu nieraz przyjacioły
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

[6]

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy...
Pełny baranów cień każdej kolumny
I pełny owiec cień każdej oliwy,
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

[7]

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa
Na śpiące owce... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze...
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

[8]

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas – w hełmie z błyskawicy –
Czuwa – i ciche sny bogów nastęcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

[9]

O słońca wschodzie wstawałbym – pobożny.
Od moich owiec raniej – od jaskółki;
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały – pszczołki
I kładły miody w złamanej kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

[10]

Na mej policy... czara starożytna
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą –jaka najada błękitna,
Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzew... kilka malw z jasnymi kity

[11]

I sad... gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześniej noc już być zaczyna,
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielonociemna, cicha, wonna, świeża
Noc dla poety i owiec pasterza.

[12]

O wy, amora słudzy, wietrzne duchy,
Z motylowymi skrzydłami wietrzniki...
Ja bym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary – was mówiących plotki

[13]

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które nie kochane – pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych,
A gdybyście mi o czym smutnym jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

[14]

Skapałbym całych w czerwonym falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łądygą,
Między różane gdzie zarzucił ciernie
Lub wziąwszy za łeb – zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek – bez potrzeby.

[15]

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni – i prowadził koło.

[16]

A tam na szarej kolumny ułamku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi – przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych...
I przyklaskiwałby memu rymowi.
Duchy – sny – straty – starce, bądźcie zdrowi...

[17]

Czy nie widzicie, żem chory – szatanizm,
Bajronizm – siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religią mas – w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpacz.

[18]

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcją... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką
I z Europy znudzony uciekam
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi – że coś robi.

[19]

Najwyćwiczeńsi w tej sztuce kłamania
Niewarcsi są mi rozwiązać trzewika;
Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś na kształt płomyka
Poetycznego... stąd mię częściej wita
Poetą – ten, co widzi, niż co czyta.

[20]

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie –
Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę –
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie;

[21]

Te strofy są złe – no, więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to...
Chodźże tu do mnie... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą,
Łódka przez fale rozbudzone pędzi
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

[22]

Przez nachylone żagle księżyc błądy
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady,
O maszt oparci... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty...
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

[23]

Oni umieją zostać nieruchomi
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żagłów – muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci – mieszczą
Jak duchy – myślą wywołane wieszczą.

[24]

I cicho, i wraz... o godzino święta!
Łódka się w morskie rzuciła głębiny
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła
I wstrzęsła mnie tak... i jęka, i legła.

[25]

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było bliskie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach – jak Bóg na Synaju.

BENIOWSKI

Poema

PIEŚŃ PIERWSZA

Za panowania króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława;
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa
I kraj był cały na rumaku, w polu;
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu za progiem.

Maurycy Kaźmierz Zbigniew miał z ochrzcenia
Imiona; rodne nazwisko Beniowski.
Tajemniczą miał gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako częstochowski
Szkaplerz – od dżumy, głodu, od płomienia
I od wszystkich plag – prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną
I bite pieśnią zapału, nie pęką.
Przez całą młodość pan Beniowski bujnie
Za trzech ludzi czuł – a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał – ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat – był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną,
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem

Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą –
Nie znano wtedy jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą –
Pozbył się potem swoich białozorów,
Regentowi dał charty, w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsji
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie;
Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsji.
Mało o to dbał (tracąc na chudobie,
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi),
Lecz pan Beniowski rzekł: „Ja sam zarobię
Na drugą wioskę et si non mi nocet
Fortuna – z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem,
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność,
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził... O nikczemność!...”
Tu pan Kazimierz jęknął harfy tonem
I na szumiący jesion łzawo spojrział.
W tej chwili zyskał trochę – trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam pan sędzia, zastawnik
I regent – niby trzy głodne lamparty
Lub jako muły puszczane na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty
Wpadli, ogryźli i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką – doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskim wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;
O doświadczenie! jesteś ciepłym pierzem
Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnej nocy – świecą w rękę.

Lecz pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,
O doświadczenie jak o grosz złamany
Nie dbał – wołałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z panną Anielą. – Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło – dopóki wioski

Nie stracił... wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A...wiczów...
Kochała wiernie – wierność była w modzie –
Lecz ojciec – ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce – oczy miała duże,
Czarne – jak róże, co się nad mur przegna
I mimo czujne ogrodowe stróże
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną,
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziewczątek;

Aniela – mimo ojcowskie czuwanie –
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słyhać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc spod ziemi; lecz pozwól, asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzie indziej...

Zwłaszcza o innej porze... Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik;
Diabeł wie, jakiej wiary: w rzymskie bogi
Wierzył i wierzył w prorocтва i w sennik,
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik...
Słowem, była to dziwna meskolancja
Świętości, złota, folgi –jak monstrancja.

To porównanie pojąłbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce; kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur stał jak z głązu
Kłaniającym się ludziom na widoku
I stał jak martwy, niczym się nie wzruszył,
Lecz widać było, że żył – bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelka z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki
Z trzema wieżami baniastymi w złocie
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!
Zwłaszcza że szlachcic, wielki oryginał
Góry uczynił do przebycia trudne,
Wężowe w skałach ścieżki powycinał
I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce rzymskie: ten puginał
W rękę swym trzymał i twarz miał brodatą –
Skąd łatwo było poznać, że to Kato;

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na Starosty górach stał bez listka;
Dalej w egipskich katakombach... ule;
Dalej posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku jak do Antychrystka...
Albowiem wszystkie te pomysły pańskie
Nie katolickie były – lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko,
A tyle widział nieba, co obiema,
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tym jednym okiem w ciemną wodę:
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grotą;
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,

Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą wśród spokojnych toni;
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dyjana o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała...

Słowem, było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata,
Przy ucztach często na łysinie – róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem –
Że kto pił, zdał się mędrcom – nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się.
Lecz zakochany w cudownej Anieli,
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te grotty od lamp różane – i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga
I w każdej po niej została część Boga –

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia.
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę – i sędzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia, pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzozy jasnych są kochanką źródeł –
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny –jako księżyc w chmurach.

O Melancholio! nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną

Zarażasz? – Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj – niech cię porwie trzysta! –
Nie Polak – ale istny bajronista...

Trochę w tym wina jest mojej młodości,
Trochę – tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę – tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę – tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą
I będą chodzić skrzypiąc, płacząc, jęcząc,
Aż wreszcie Pana Boga skruszą – dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak „Sąd ostateczny”;
I przy eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnym niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni...

Ci woźni są to krytycy. – Kolego,
Byłeś w Arkadii tej, gdzie jezuici
Są barankami?... Pasą się – i strzegą
Psów; i tym żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszczą. Kraina niczego!
Pełna węzowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej – niebieska kraina,
Co za pieniądze bab – truć nas zaczyna.

O Polsko! jeśli ty masz zostać młodą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje,
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije;
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wiję;
Jeśli masz zrównać się z podstępny Włochem:
Zostań, czym jesteś – ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą
O każdej czarze – czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pajaka swego
Wlane są jady. – Jesteś córką Boga
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.

Ciebie się żadna trucizna nie imie;
Krzyż twym papieżem jest – twa zguba w Rzymie!

Tam są legiony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwinięsz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą
I krwią handlują, i duszą biedactwa,
I sami tylko o swym kłamstwie wiedzą,
I swym bezkrotnym wyszydzą palcem
Człeka, co nie jest trupem – lub padalcem.

Lecz pokój z nimi!... Nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju – więc życzenie próżne!
Niechaj więc włączą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz – stworzenia ostróżne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków, niech mają usługne,
W jadzie maczane pióra – dusze w bagnie,
Niech żyją: takiej krwi – nikt nie zapagnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał – i Grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły – lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca...
Ma nas za trupa ten szakal – i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczołgnie się zmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy. –
Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy,
Kiedy czytelnik tę górę omija
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nade wszystko szczere, polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na muzę i natchnienie czekam
I czoło moje pomarszczone noszę,
I poematu ekspozycją zwlekam,
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu jak motyl na róży
Usiądzie – aż się kwiat listkami zmruży,

A potem nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne – i na okolice
Rozeszle wonie, co wszystko pochłona. –
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę
I tu pokażę, że nie jest zmyślona,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice,
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! – już pieśń zacznę – jużem gotów.

Był wieczór. – Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie –
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy –
Lecz nie poemat pisząc, tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział – konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy,
Wsiadł na koń, spojrzął na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia – koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Kłasyły dwa harapy –
Pana i sługi... I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów – i na długo.

O! gdyby wtenczas jaka nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
„Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! – lecz jeśli twe dzieła
Zapisać sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na tabakierki,

A twe koszule porzną na szkaplerze,
A twe papiery – choćby to był tylko
Od ekonomy list albo przymierze
Wiecznej miłości z Handzią lub Marylką –
Sawantka łzami rzewnymi wypierze
I w sztambuch wklei albo przypnie szpilką;
Że twa peruka – jeśli masz perukę –
Frenologów podeprze naukę;

Że twój but prawy powieszą w Sybilli,
A o znikniony lewy będą skargi”. –
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczął się, takie proroctwo wyrzekła,
Uczulby w sercu coś – coś na kształt piekła...

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu!
Jakim ty jesteś smutnym głupstwem ludzi!
Zwłaszcza że wieszysz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła – za tą chmurą Pan Bóg na kształt świecy.

Ale to wszystko jedno. – Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater...
A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą...
Ach, tak jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy – Wisłę przewędrował promem...
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem...

Ach, tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci;
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdym słońcem – słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąć,
Że dla niezgody słońc – królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze
Wojna niebieskich krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kazimierz jechał takim być ułanem –
Kłaniało mu się zboże całym łanem,

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał

Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho – sługa śpiewał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty;
A głos po łąkach złocistych przepływał
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy;
Te drżały bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. – Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
Skała ta jako wielki obłok szary
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistymi okny i krużganki.
Całą tej górze postać ekscentryczną
Odjęła złota noc swą szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem, żeniony z topolą;
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawiają na tuza
Cały majątek; przegrał go i plunął –
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! – i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się sunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości. –
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?”

Święta Maryjo, ratuj! dziecko kona!”
Na to Beniowski rzekł: „Poprawiam strzemień”.
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię,
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię
Takim westchnieniem wielkim w księżyc cisnął,
Ze księżyc ścmił się – zmarszczył – i znów błysnął.

Westchnąwszy jechał dalej brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglącym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu,

Smutny jest gotów do bójk i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak –
Szczęściem, że żaden się nie zjawił Kozak,

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgilla hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz; za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ – a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny
I bełkotała ta nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słyszac, jak słodko zapraszała flasz,
Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głązy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza –
Został się w Troi, z konia spadł na ślasy,
I tak bohater zbył swojego sługi –
Ale za koniem jego szedł koń drugi...

I było coraz ciemniej... wtem – o cuda! –
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza:
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda,
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza –
Tu widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użycza;
Więc dalej! wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest ex machina deus – w kształcie wiedźmy. –

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wichur prześcignął...
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął
Ciagnąc za sobą mojej pieśni syna.
Że Polak daje się wieść – nie nowina!

Widziałem... Ale stój, muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. – Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci,

Ze ma koń ze mgły, z węzów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze...

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu
Pędził za naszym rycerzem i babą.
Dźwięk głuchy kopyt jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo jęczał słabo,
A ręka więdźmy jak liść wielki klonu,
Gdy szcerwienieje, lub jak mówi Strabo,
Łapa ibisa, czerwona, bez pierza:
Za lejc trzymała swój – i lejc rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy –
Ale mu jego koń był bardzo miły –
Czy świeśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku więdźmy do mogiły –
Ale i ta myśl druga, i ta chęćka
Zdawała mu się niezła – lecz za prędką.

A tu bym wiedzieć chciał tve mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy:
Gdyby cię takie spotkało porwanie
I nie spodziewał się znikąd odsieczu,
I widział taką rękę, mości panie!
Czerwoną? – do miliona krwawych mieczy!
Taką ohydną rękę? pełną kości,
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce – co byś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I – nie wiem pewnie – lecz może wąsata
Sę-symonistkę i nie idealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? – Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadal, na rzeczy ważniejszych sąđenje. –
Beniowski więc wpadł w szatańską zatraskę,
Widzę w tym jego gwiazdę – przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżycu; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle – zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka,
Między skałami – co mogą za godła
Służyć dwóm sercom rozdartym na wieki –
Wiodła go prosto – prosto – do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały,
I tę ścieżeczkę, pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały –
Z których czytelnik może robić drwinki. –
Starosta córce dał ten gaik mały
I od niej nazwał miejsce – Anielinki.
A zaś ta wiedźma, na pozór straszliwa,
Była to niańka panny, stara Diwa.

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę ibisa rękę wnet uściskał.
„Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
Jest twoja pani? Teraz obłok prysnął!
Ach, widzę, jaką miałem myśl szaloną!
I co bym zrobił, gdybym szablą świsnął
I odciął ci tę rękę, Diwo stara.
Drugi raz nie graj w diabła i w Tatara”.

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem
Widząc tysięcznych róż otwarte łono.
Chata, nakryta prostej słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące, w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących wokoło gołębi.

Z drzeniem za Diwą szedł Beniowski młody
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł z wolna, parskając, do wody –
Ta wyglądała spod białych jabłoni
Szarfą księżycą, błękitem pogody –
Za nim koń drugi poszedł rżąc – a oni,
To jest nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni
I drzwi otworzył od panny pokoju.

Na progu stała jakby smężna ksieni
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jakoby złote światło świętych.

Beniowski myślał, że anioł, i witał
Jak bóstwo: długim, przeciągłym westchnieniem,
Potem się zmieszał i o zdrowie spytał –
Co dziś byłoby wielkim uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand, że się byronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżycy
Swe włosy czarnobłękitne ubiera
Jakby sawantka albo czarownica,
I słyszy – że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją – lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent – a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw –
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw;
Anhelli cię ma biały za lokaja
I Balladyna skora do zabijaństw
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie.

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary. –
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich – oprócz tych tylko – których zaćmi.

Lecz do powieści. – Więc na progu stała
Panna Aniela, prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.

Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra lub wiąże słomki,
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują – haczek obaczą – i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazja, licea;
Ta miała często rączęta niebiałe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea,
A zaś korzyści z tych miłości małe
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek:
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłości nic są w miłości niewarte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę,
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe
I stokroć bardziej ogniście zażarte,
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczony kończą tak jak Werter w Götym.

Więc z drugiej strony w tym jest kompensacja
Dla tych, co dzisiaj są starymi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacja
I kamień, i trup w białą czaszkę ranny
Świadczą – że każda z nich, jako akacja
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała wkoło pszczoł zalotnych wieńcem
I ma kochanka w piekle – potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną
I poeci ją rymami zaszczyca:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posepnie dziewicą,
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą

I śpiewa wichrom piekielny tryjolet,
Mając łzy w oczach – a w ręku pistolet,

Ale to nie był los panny Anieli.
Chociaż tak piękna jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie – strzelna
Nie była swymi zrennicami – zgoła! –
Lecz oczy czarne jej – paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecóm w okrągłość ściągnięte –
Ktokolwiek widział marmurową nagą
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki –

Jak owe jaje, w którym kiedyś Leda
Powiła syna bogu–łabędziowi;
Jak? – dzisiaj się to wytłumaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłumaczył, to panna Praksesta
Święta – aniołek jezuicki, wdowi –
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb – Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że spod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Boby te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć – bo ta kochana
Panna Praksesta, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczów,
Rzuca na głowę i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem „Złotym Ołtarzykiem”, który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką;
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka – (Czymże jest ból? Jedną chwilką! –
Jak mówią w „Dziadach” Mickiewicza chóry) –
Podziękowawszy za chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość – włosy
A l'antique – barwy troszeczką bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała
Za szorstką, silną biorąc rękę – drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
Ale me serce jest miłośnym szpiegiem.
Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. – Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź – opowiem – wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce...
Lecz ja cię kocham jedna – ja mam serce.

Straciłeś cały majątek? – i cóż mi
Majątek? ludzi sąd? – ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę – a nie twych dusz mi
Potrzeba – pójdę o żebrany chleb.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca – mój los już zapisany w niebie!
Ja kocham ciebie! w twoim sercu żyję,
Kto nas rozdzielić chce – ten mię zabije!

Dzisiaj przyjechał Dzeduszycki z drogi,
Znow się oświadczył i o moją rękę
Prosił. – Mój ojciec stał się dla mnie srogi
I guwernantka jak na moją mękę
Za ojcem trzyma. I ludzie, i bogi
Przeciwko nam są – i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam – patrzaj – oczy mam czerwone.

A tu, jak na złość! dla Dzeduszyckiego
Był bal. – Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc – lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty – po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja? –
Ja nie ubrałam się dla nich – ja twoja!

Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.

Gdzieżeś ty jechał? – gdy mię ból niezmierny
Dręczy – kiedy mię przed ołtarze wleką,
Gdy nie zostanie nic, jak się w cysterny
Rzucić lub twoją się zakryć opieką:
Tyś mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już – ale mi smutno.

Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się, zostać twoją? –ja niepłocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha –
Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swym sercem zgubionym i trocha
Kwiatów i więcej też żadnej nie trzeba...
Cóż to? – Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

Myślałam, że ty mi dodasz nadziei –
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka –
Myślałam, że ty w tej smutnej kolei” –
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją... drżące w szkło usteczka klei,
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyjament dzwoni:

„Myślałam...” – Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się i pękł jak pęknięcie struny. –
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny,
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?”

Beniowski już był na kolanach; w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli... Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie,
Bo na tym pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. – A tymczasem

Jako pretendent na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarciem:
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni

I skrzydeł mojej muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w „Balladynie”,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie,
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki–konika rozbija i ginie,
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżycy.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i „Młoda Polska”, co się bawi
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię... która po sobie zostawi
Tyle co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry – ani malin...

O Boże! gdyby przez metempsykozę
W Kozaka ciało wleźć albo w Mazura
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę
Pisząc – na przykład – „Anhellego”. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łożę
Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki –
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewnie bym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realnij,
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył jak ci ludzie borealni:
Troską i solą z łez gorących – biedni!
Tam nędzni – dla nas posepni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarym, mglistym, pełnym duchów.

Pewnie bym... – Lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresje – nudzą; więc, mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku;

Także cokolwiek szlachty. – Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ DRUGA

O! nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg! nie wiem sam, skąd mi się wzięła;
Długo po świecie, pielgrzym tajemniczy,
Chodziłem farby zbierając do dzieła,
A teraz moja muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła;
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrius rzucony przez nią lub Niedźwiadek,

Spali się – lecz ja nie winien. Per Bacco!
Różnymi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Na przykład drugą piękną „Ode” taką
Jak „do młodości”. Może serca młode
Pokochają mnie za to, że jest śmiały
Jak Roland, który wpół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć – co? – dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam, jaki szczerzy Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest syredeń! –
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku Kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy – to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonia, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnymi oczami
Patrzy, na niebie jeden – przez topole,
A drugi taki złoty księżyc – w dole.

Atoli wewnątrz tych domów dopiero
Poetyczne jest – zwłaszcza jeśli miłość
Oświeci, wonną je napelni mirrą
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość;
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... – Ta strofa ma pewną zawilść,

Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę –
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną – lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słonecznie) –
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni –
Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga;
Ona umarła już. – Jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. – O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żalobę nosić.
Ją słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca
Ze słońce na wielkie słońca i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszcze za nią skrzydła chyże –
A tu mi ręce zawiążcie na głowie
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym w alpejskim upadłszy parowie
Spoczywał. – Miałem ja troski i krzyże;
Więcej, niż śniło się wam, filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu, ziemskim, i tam, nadsłonecznym; oba
Smętne są. – Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie,
A te zostaną pieśni jako proba
Wcale nie według mego serca – ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwałę.

„Głupi! o sobie dobrze mów!” – wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrawszy siebie we śnie jak krwawnika
Ocierwienionym, na piekielnym progu –
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezzennym – także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! – Jest to przestroga
Już nie Szekspira; na tym fundamencie
Moralność cała stoi. – Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja ariostyczna droga?
Widzę, że wszystko mi stoi na wstępie,
Nawet pisania łatwość rzuca plamę –
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileż bym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d.....w być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Sanczo Pansów,
Na której by się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę – do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pięści, kocha mię sestyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa,
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem: „Patri patriae”. – Jest to nowa
Krytyka. – Stój! – ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Łśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki;

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi,
On się rozjęczy jak harfa Eola,
W róże się same jak dryjada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy na pola
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola,
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem
Jak marmur, który duszę w sobie chowa
I z wolna złotym wylewa strumieniem,
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby!...
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,

Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
I dla jaskółek... Na co?... Znowu błędę
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki (mrówkami są żądze –
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł jako poznańczyk – idei).

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka równe porobi odkrycia?
Nie wiem. – Czasami myśl w eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia,
Lecz później pismo, druk tęcze obrywa
Z kształtów. – A teraz odbłysek mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe – gdy pęknie!

Szcęściem, że pieśni tej bohater młody,
Świeży, miłośny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawej wody,
Lecz niezbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezja go otacza. – Czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileż byś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hipogryfując, leci, tnie wyrazy,
Klnie, że wokoło zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy! –
Beniowski, jakby go Bóg o tym ostrzegł,
A priori to czuł – lecz nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał –
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myślów dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnej w nim nie było nowej;
Najnowsze z ustek różanych wysysał;
I teraz, patrzcie! w pasiece lipowej
Kłęczy pokornie przy kochanki nodze –
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość – o! ta, pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. – Mimo plotek
Szesnastoletnim się przybliżyć licom

Pozwólcie – zwłaszcza gdy chłopiec-podłotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom
Dlatego tylko, że się mogą bratać,
Piórkami ścisnąć i gruchać, i latać.

O! pierwsza miłość! tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu;
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której nie ma końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem;
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dlaczego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku świętego Anioła,
Prócz tych... – Ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O muzy-dziewice!
Zarumieniem waszym ucieszony,
Wracam do bajki mojej – z innej strony.

To jest – zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, światła księżycowych, woni,
Wód rzucających srebrne błyskawice
Spod brzoź i bielą okrytych jabłoni;
Serce przy sercu i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czule,
Lecz wieszczą mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie Starosta
Kłaniał się, poił, dał, puszył, brał na ton,
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon –
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta! –
Więc się rozeszli, woląc sen – niż świat on,
Co się naówczas zdał zaatlantyckim.
Został się pan Starosta z Dzieduszyckim...

Ów Dzieduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacji,
Z której niedawno chciał uczynić cmentarz,
Co do jednego wyciąć – niech go kaci!
Z Rulhièr[e]ja pewnie jego czyn pamiętasz,
A tu obaczysz, jak mu się wyplaci

Konfederacja: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryzynek lub pugińał.
Nie znano jeszcze wówczas „Wallenroda”
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał,
Exemplum: oba litewskie biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich – oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej – jeśli ich pod lodem
Car nie utopi – łatwiej ująć latami.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. – Czarni,
Lecz obu wielka myśl była powodem,
Oba chcą Polski, aby ująć bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiej odrwić Polaków – niż cara.

Wallenrodyczność, czyli wallenrodyzm,
Ten wiele zrobił dobrego – najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na „odyzm”,
Co od włoskiego „odiar–lo” – najpręcej
Może zastąpić brak polskiego słowa;
Wallenrodyczność więc – jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz... domyślaj się reszty –
„Co? sam Paszkiewicz?” – O tym jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny. – Pomyślał: „A wiesz ty,
Że on być musi już przejęty skrucą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Wallida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda”. –

– Tak jest: obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski
W chmurach się kryją. – Więc już rozumiecie,
Że Dzeduszycki nie miał jednej kreski
Od brzegów Dżwiny po hordy Nogajca;
Wszyscy w Ojczyźnie mówili: „To zdrajca!”

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy;
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr – trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,
Dlatego że piał. A więc wszystkie zmaży
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował in petto
Zemstę jak Włochy, co się mszczą stiletto.

Tymczasem chciał się ożenić bogato
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół wariat, a pół syn cesarów Romy;
Maleńki starzec, półłysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, pół anioła.

Wybrawszy teścia przyjechał bez swatów,
Z intencją ojcu się oświadczył, pannie;
Wspomnił o drzewie swoich antenatów –
Nie wspomniął ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów –
Ale o królu mówił nieustannie,
Pokręcał węża, zarzucał wylotów;
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów.

Dlatego kochał psy; gdy gardło zalał...
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał węża... za psami szalał,
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psóm kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę: aneuryzmy –

Te dowodziły, że miał serce. – Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materialny kadłub, z okiem sowy
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi
I wiele tego wszystkiego, co ludzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu Staroście, na prawo;

Dobijał właśnie targu i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą; oczy utopił sokole,
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole, wyciągniętą prosto
Ku kielichowi i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić,
Wierzaj mi i bądź, Starosto, łaskawy!”
Tu pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina; pił jak but dziurawy
I zwykł się nieco był po picciu krzywić;
Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą!”
Tak mówiąc teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem, i oczy, co straszą
Chłopów jak oczy czerwone szatana,
Uczył cukrem i ponętą ptaszą –
A miał na oczach swoich, jak jastrząbek,
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół spiący, ale grzeczny,
Nie wstawał ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza gdy ujrzął twarz żółtą, wąsatą,
I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez półowę
Już spał – a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzeduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uspiętego na pół serca wkładać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: „Niech tak będzie”

Gadając ręce pokornie złożone
Na stół położył obie i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone –
Albowiem uśmiech mu senny obwieszcał,

Że po pjanemu zdobył sobie żonę –
Wtem nagle jak wąż wzdał się i zawrzęszczał,
Wstał... lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie...

Orzeł na karcie był – a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita...
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła,
Oczy w niej toną – myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzył z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan – to raz na księdza,
To znów na ściany patrzył wstając z wolna,
Ręka na szabli, w oczach gniewu jęcza
Ledwo się w sobie pohamować zdolna...
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okolna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk – wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli – ale mówiąc szczerze...
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że „Donzuana” widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczere.
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty,
Na wieżach zamku spiewał ptak Minerwy,
A w jednym oknie miesiąc stanął złoty –
Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy –
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łaskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe;
Wreszcie Ladawy pan – odzyskał mowę.

„Ktoś ty?” – Ksiądz milczał. – „Co tu robisz, mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucyfera!”
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał – chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera

Jak w zwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko – gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzął i cofnął się biały
Jak воск, jak oczy, którymi go szukał
Pan Dzeduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swym, na ludzi nie hukał,
Zwłaszcza że ksiądz był wielki – a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan Starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę
Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.
Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: „Konfederaty!”

Starosta spuścił łeb – ksiądz się przybliżył
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
„Przebacz, wielmożny pan, jeśli uśliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny, a jęki
Tego człowieka słuszne. Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie” –

Podczas tej mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate,
I kragłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „Ja jestem ksiądz Marek!”

Wstrzymał się – powiódł okiem po Staroście,
Zmarszczył się... i rzekł: „Dla Kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy;
Wy się tu, proszę, bracia, nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny – więc kapituluje”.

Na to Starosta krzyknął: „Protestuję
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów.
Jako Rzymianin z zamku ustępuję.
Mieć nie będziecie nawet moich kościów”.
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezja gotowa – Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozplamionych.
Zresztą już Ursę mam z Kasyjopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pękniętych,
I Filomełę, co tak jak J. B. O.,
Ów londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezja. – Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę lżę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „Pójdę i skonam za kratą!”
Czyście słyszeli te słodkie kuranty
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak, przysięgłbym, że niefałszywe?

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Pugilares z paszportem i t[ak] d[alej].
Czy przysięgaliście jako upiory
Wrócić po śmierci przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwoli potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę?
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!” –
Ach, takem ja śnił... lecz na piramidzie,
Tfu!... odebrałem list, że za mąż idzie.

To mię cokolwiek zmięszalo – nie bardzo –
Ale cokolwiek zmięszalo. Bóg świadkiem!

Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardza,
Ze niezabudką już ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni – smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące,
Gołębie słycać tam było gruchania,
Łzy zimne – usta zmywają gorące,
Słycać serc bicia, płacze, słowa, łkania,
Już się rozeszli – rzecz skończona – horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor...

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe – chmurą obwiedzione złotą.
W dole: Raphaël pinxit albo Giotto.

W galerii siedzi dusza. – O! tęczowa
Kopuło myśli, tyś moim kościołem! –
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem,
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda jak urna z popiołem
W najtajemniejszej kaplicy stojąca –
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i zruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa:
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją, i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi.
Pękło – popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedia powagi
I ciszy greckiej; reszta – wiatru wyciem;
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem,

Czyny się stają piorunem odwagi –
Rozbiły kościół! – Pod jego rozbiciem
I serce pękło, i burza przewyła...
Z wszystkiego, patrzcie, co: krzyż i mogiła.

Przez wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzości, Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę, .
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane;
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona,
Kto wie – za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła; ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły,
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonymi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedne swe oko topiąc w Galatei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana, stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić,
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekróć łezkę rzuciła do wody;

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet – czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy...
I serce biło w niej – bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichym brzęczały i gwary,
Jak gdyby przez sen mrucał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy –
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy

Całą oślepił. – Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa rasa nakazana
Przez księdza Marka na znak panu Sawie...
Pod biedną panną zadrzały kolana
Z trwogi – wąż leciał paląc się jaskrawie
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta rasa na gwiazdach rozbita
I każda róża w ogniu, i falena;
Już zdało się jej, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. – Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy był świt ranny.

Lecz rasa zgasła i swe włosy złote
W ciemnym powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela myśląc, jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonech w bok miotła błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie;
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnej
I z tym ukłonem uśmiech – treści zgubnej.

Mimo to wszystko serce biło szybko;
Coś do tej główki wpadło i pobiegła,
Biegając, jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki z dala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała, i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się – i różowa wpadła
W bramę, i wkoło spojrziała, i – zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni.
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patryjotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich już nie drżała,
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak transteweranka,
Biegła, jak wichur szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie,
Że rad by się był rozsądzić granicznie
Z konfederacją... i t[ak] d[alej]. – W szumie
Tych słów nic więcej nie pojęła córka,
Tylko że ojcu grozi jakaś chmura.

Błady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. – Tu powiem, że Dziędużyckiemu
Pożyczył, niegdyś proszony, naprędce,
Kozaków przeciw panu Pułaskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzące
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan, cały purpurowy wczora,
Wyglądał jako statua Komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża,
Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża,
Wrywa ten nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło spod papieru, obie
Te ręce zdrajca położył na sobie –

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie, i włos mu okrwawiły siwy.

Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe orderzy plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach. – Potem się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan – i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. – Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z tej samej przędzy
Winą się, dla nich ten rym i przekłęcie!
Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psy patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, ręk własnych sczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zboczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami.
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec, i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę – już diabli biorą.

Wtenczas Starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął krzyżąc: „Rozbójnicy!”
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
Niż... z mojego cię wyklnę Kapitału!
Córko, podaj mi papier – kozak, świecy! –
Siadaj tu, panna, et pagina fracta
Pisz protestacją, która pójdzie w akta”.

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie,
A starzec do niej: „Ta krew czarna, zsiadła,
Ta krew na stole atramentem będzie;
Umocz tu pióro”. Aniela pobladła;
Krwia był zalany stół aż po krawędzie,
Krwia, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do rąk wyrok barskich.

Ale posłuszna w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrziała i dreszcz ją przeniknął. –
„Wezwawszy bogów na świadki – pisz, córo! –
Których bogdajby wzroku nie uniknął

Ów czyn nieszczęśny i haniebnny... iuro!...
Tu karmelita ksiądz powstawszy krzyknął:
„Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...
Co ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

A ty, panienko, grzech ściągasz na duszę
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę
I na tym miejscu krwi popłynie rzeka,
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę
I na Moskali pójdę! – Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z Bożego Ducha?
Kto tutaj słysząc nie słyszy i słucha?

Zaprawdę, mówię ci, panie Starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek – prosto,
Ze prosto idziesz w piekielną ciemnotę.
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą
I gdyby nie ja – te komnaty złote
Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane
I purpurowe, i w ogień odziane.

Czy nie wiesz o tym, że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyrznięcie?
Pod święconymi nożami krew płynie;
Pop otwiera pierś, a chłop daje cięcie
W bijące serce. Cały naród ginie
Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale bezczynny, sądzisz, żeś bezpieczny?

Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
Miał tu pohulać z tobą, wielki panie.
Dziś by tu wielka rzeź w zamczysku była.
Idź! – on przykuty łańcuchami w ścianie,
A przy nim zbójców powiązanych siła...
Idź! obacz, jakie teraz mają łoże;
Leżą na workach, a w tych workach noże!

O! taka pościel będzie dla grzesznika,
Co jak ty patrzy na mordy spokojnie;
Dziś byłbyś w piekle, tu bez spowiednika
Zamordowany. – Pan Sawa się zbrojnie
Z twoimi chłopcy na moście potyka
I za twą całość krew wylewa hojnie.

A twoja siwa się tu rzuca głowa,
Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa”.

Podczas tej mowy pan Starosta w czoło
Księdza jasnymi patrzył się oczyma;
Nagle jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma...
Zadrżał. – A wtem pan Sawa wszedł wesoło,
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół Kozak, a pół szlachcic – ten donosił,
Że całą groblę Starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim; wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spójrzył i zmięszął się cały
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady Starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy

Jako Sybilla z piórem w ręku. – Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem, na drogoskazie
Wiszących – romans w poemat urasta –
Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu. Pociągnąwszy hausta,
Jak się rozogni myśl, napiszę „Fausta”.

Jak się rozgniewam na imaginacją,
Diabłowi oddam bohatera duszę...
I pewnie zyskam wszystkich aprobacją,
A tych, co płakać ze mną nie chcą – zmuszę.
I demokracją, i arystokracją
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co – to sercem gryzę.

PIEŚŃ TRZECIA

O! jakże smutno w jasnej życia wiosnie
Być tak samotnym jako pan Kazimierz;
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą, lecz czego się imiesz –
Błotem. Dopóki serce wre miłością,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat – satyrą.

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady,
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgłę, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska, i leci?... On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgłę twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań – kwita;
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja,
Która poezji uczy: jest dyssekcja.

Szkoda, że z takiej dyssekcji wynika
Jakaś szkodliwa materialność, sucha.
„Eureka!” – nasz pan Grabowski wykrzyka,
A „Tygodnik” go „Petersburski” słucha –
„Oryginalny wieszcz do «Tygodnika»
Napisał nowy wierszyk, pełny ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny,
Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!”

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby!...
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,

A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dlatego w raju mam zamknięte bramy
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię...
Cóżkolwiek ma być – wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łąza? Dobrze i to! –
Włazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody;
Krytykom jak psom rzucam kilka kości,
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. – Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek
I marzeniami swoją przyszłość czytał,
I widział ją tak uwitą jak wianek
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj – miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet –
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża – jak Mahomet
Panteistyczną jest i wszystkie głązy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarenek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do „Alkoranu”, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje hurysek –
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza że w każdej gruszce – do wyboru
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na wschodzie dogmatycznie.
U nas liczono by do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: „Płeć zieloną miała jak szparagi”.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w „Koranie” i krytyka
Milczy – krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka
Jako ostrowidz lub jako nosoróg,
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa – gdybym dbał i był gorący,
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? – nie, krytyków. – A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K...
Mówią, że „Młodą Polskę” pisze – baba,
Ale ja widząc, jak kasa i szczeka,
Sądzę, że jezuita – a ma draba,
Który tłumaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje
W diabelskim napisane dyjalekcie;

I stąd się mocno cieszę jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni, dlatego że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać,
Jakby (w balladach porównania szukaj)
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie,
Ja go prowadzę w ogień: jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych! –
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi,

Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem epos tak, jak śpiewak Troi:
Więszą – bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezji boi –
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem epos i, niestety,
Może nie skończę!... i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladowuje grzbiety,
Nie zaprobuję miecza i to zaraz...
Zjadłszy przynajmniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnej kwerendy
Wieszał – i przyszłą republikę kształcił,
Bo Żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi: jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi,
Druga, choć trochę Maltusa kaleczy
Systema i to, co za ziomki swemi
Pisze pan Cz...[...], z wolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskimi,
A Żydom nic nie szkodzi, bo Żyd w mig się
Odradza – patrz Tacyta o Feniksie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżyni.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzył, i rozmyślał, co uczyni.
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady, wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błękitach,
Wyrzucające błysk, do żądał pszczelnych
Podobny... Kule szumiały po żytach,

Gwizdały, do jędz podobne piekielnych,
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem – jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny
I widzisz pszczoły w słonecznym promyku
Lecące do łąk... dalej – grodek zbrojny
O milę, na równinie działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny:
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i z daleka...

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho –
I działa jak psy legły mu przy stopach;
On je pogładził i szczeknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach;
Szczęsny, któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferie,
I zamiast pisać akt – stawia baterie.

Tam widać laski brzozowe i klony
Błade, z gałązek kulami owiane,
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wraskiem, wygnane.
Dalekie miejskie słyhać gwary, dzwony,
Wszystko wkoło wre; tylko zadumane
Na szarym polu dwie Maćkowe grusze
Jak wróżki pod swój liść chowają duszę.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskał pieszy ku mieścinie,
Tu kawaleria się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiźnie – i znów się prostuje, gdy minie,
Tu garść Kozaków jakby oczeretów
Kępa, tu błyski szabel, tam – bagnetów.

Na to pan Zbigniew patrzył sponad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień – ale mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże.

I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biec, gdzie burza błyskała czerwona,
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka nimfa na ramiona
Złożyła ręce... Wrzasnął głośno: „Kto tu?”
I mocniej w nim pierś zadrzała wzburzona.
Spojrzał – na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu:

„Czy jastrząb je tu jaki – myślał – goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?”
Tak myśląc zdjął je i trzymając w dłoni
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją car naszymi
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie:
Tak owe białe gołębie, przeciwnie,

Z lotu zrobiły taniec – i nad głową
Pana Zbigniewa na skrzydłach trzymane,
Jakby miłośne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo, smętne, zadumane,
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim w niebie.

I zobaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy;
I znów złączone jako płatek biały
Śniegu, gołębek przy swej gołębiczy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy
Najmilsze z siebie dali malowidło:
Senną kochankę gołęb wziął na skrzydło,

Przyniósł na ziemię, położył na trawie
I wkoło chodząc budził garłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie:
Miłość go takim darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takim się kochaniem
Zapatrzył gołęb w swoją senną panią,
Że tęcza blasków z niego – przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Zrazu był nieszparki
Lot: póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił – wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoją myśl w serce człowieka,
Coraz prędszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych, łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek albo rzeka
Pełna rusalek. – O! domysły trafne! –
Może w pokrzywy przemieniona Dafne,

Może Minotaur i zakłete skarby,
Z których jak z dobrej wioski będzie przychód –
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don Kichot,
Nigdy by w „Trzecim Maju” nie urosły
Iluzje – na co dziś tak wrzeszczą posty,

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły –
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeszcła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły,
Liść, co pozostał – zwiędły i zwałany,
Szumiał po drzewie jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze
Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze...
Nocą spod owych skrwawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie – jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków,

Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I nie znalazłszy w nim nic – dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem wkoło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, którzy czyści
W czyścucu, a na tym świecie wszystko czerni,
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili – wiatr dął taki jak w hamerni –
Szczęściem, bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi

Oprócz Kozaków dwóch. – Z tych jeden stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało? – nie chcę i nie muszę
Mówić; bo ta rzecz należy do wiary
Greckorosyjskiej; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii, gdzie car – jest i piekło.

Pocieszająca myśl! – lecz nie dla cara,
Który wolałby może z tego względu
Więszą bezpieczeńność. Jedną więc ofiara
Polskiego miecza, młodego zapędu,
Poszła ad umbra[s] i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu – gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesytów,
Bankructw, poezyj głupich, jezuitów,

Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko–romansistów,
Kozako–powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają – od czego ja aż do równików
Biegłem unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam – gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dzuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię

Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie jak w Armidy palmie
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu;

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza.
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę; harfy używam lub bicz –
I to jest moja poetyczna droga;
Lecz z mego życia poemat – dla Boga.

On wie, On widział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących – te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną;
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać;
Tą myślą modlić się – i nie przeklinać;

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie. – Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni – te cierpiące:
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone!
Uderzam ciebie w złości. – Milcz, szalone! –

O czymże ja mówiłem?... Ha... w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzył w blade twarze;
Wtem ujrzał, że się cień zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu; a więc cięciem stali

Odrąbał gałąź, ta zaś, odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z wulkanu,

Leciała huczac głucho i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego; więc – o! myśl szalona! –
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź – i wiatr ją pochwycił znad trupów,

Roziskrzył, stargał, skreślił i zwinawszy
W jeden kłęb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy
Słyszac, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puchacze i żmije –
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi,
Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze jak rzecz suchą,
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu nie chciał uczynić świecznika
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głązy kredowymi syka
I pachnie gorzki piołun. – Więc mój rycerz
Stał – jakby z głazu go wyrąbał snycerz;

I patrzal; owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagał i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła,
Owe gołębie, których ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości – nigdy za małżeński związek! –
Skoro dąb zagał, zleciały z gałązek

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem
I zmieścić (nie wiem, czy mógł wojsko całe),
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę
I dzieli się tak cudownie i sztucznie
Jak ową siedmią ryb Chrystusa uczenie –

Tak że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale że to jest cudowna zagadka
O sławie onej i o rybach onych,
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę – te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka,
Skrzydłami siekąc w powietrzu tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemnoniebieski,
Bo próchno, niby brabanckie korunki,
Rozbłękitniło chropowate deski
Jak dla rusałki kościół lub Bogunki.
Było tam światło takie jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle – światło nadziei! –

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosna, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje;
Ktokolwiek grootę odwiedzał błękitną
Kaprei – i tam ujrział bóstwo swoje
Nagle, błękitnym powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i w anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty,
Oblewające ją od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny, lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze,
Żywy – lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi
Zamknawszy oczy, znowu je otwierał

Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacji i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał:
Niech popracuje albo puści żagle
Myślom – a ujrzy tu znienacka, nagle...

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owym drzewie
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko
W błękitne próchien rzucona zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką
Arachną. – Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczętką
Ów utwór nowy. – W błyskotnej sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki
Sięgały jej ust dziobki różanymi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na wazki
I dwie perłowych łez zrobił równymi;
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotymi
I z włosów dziwne rzucały promienie;
Bielutką miała twarz – z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Splonęła, twarz jej splonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna
I ten rumieniec, co w skażonych mija. –
Widzę, że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi.
Stwórcie więc myślą panią dwóch gołębi;

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim rusałek kościele;
Gdy wkoło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy, czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele –
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata;

Beniowski z ładną panienką. – Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej.
Miłoscie moje jako próchna świecą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;

Ledwo ustami płomienia zachwyca,
Wnet je strach księdza albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą – listownie.

W listach dopiero (a wszystkie umieszczę
W przypiskach)... mój bohater będzie czuły;
Już to nie będą moje rytmy wieszczę,
Ale esencja serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły –
Nie emigracją, bo tej diabeł nie chce
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicja serce spod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła,
Jakie pryncypia ma, a księżyc z miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś – srebrnego.

Pryncypia! o pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna. – Więc przekryślę
Te strofy. – Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie! – że mi serce wre i pęka.

Więc, polityczne moje falanstery,
Bądźcie mi zdrowe! – I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie, smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka – śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidiasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! – Ha... to mię przestrasza.
Kościuszko przeczuł was krzyżąc: „Skończona!”
Z krzyża swojego krzyknął tak – a wasza

Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka – śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami – prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko wiedzący.
Krwia do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puchar lśniący;
Słyszycie? Pękło. – Teraz mi wezglowiem
Jedno kobiece serce; jestem śpiący,
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedia gra. – Może mi przyjdzie
Grać inną; wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinks przy piramidzie
Z grobów ojczystych; patrzą blade twarze:
Może, wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa?
Może zamilknę jak lew, co poziewa

Patrzac na małość zielonego węża,
I zasnę – zasnę – ha! – lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was, głodne sępów pokolenie!
Ugolin odbył piekło... Ognia fale!
Wyrwicie resztę sępom. – Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nade mną, nie wy,
Na których patrzył ja, Akteon blady.
Między ciemnymi położę się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc jako mój srebrny anioł lewy,
Ona jak złoty mój duch dobrej rady
Odgoni czarne cherubinów stada
Mówiąc do nieszczęść tak – jak anioł gada.

Przez litość tylko nade mną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy:
Będę zbawiony! dumny, bezpokusny. –
Ale to wszystko sen – i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje spod zasłon odchyłę,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potem wskrzesza. –
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza? –

Odbiegła. – Skarży się na moją ciemność.
„Poeto, fiat lux!” – zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność;
Życzę, aby to było, czego życzą;
„Tygodnik” jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, że jest coś –jak grecki antyk,
Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator;
Bo mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin, i pod Ekwator,
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrzną: „Sta, viator”
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma;
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to – cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Na kształt Hektora, Ajaksa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy;
Pisze kronikę wierszem jak Wiganda,
O awanturach własnych – geografią,
Po której ludzkie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: „Pomysły
Do dziejów”, które się dzieć kiedyś mogą.
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po rękę jak rektorska linia –
Jeśliś ciekawy, patrz rozdział: „Opinia”.

O! autorowie z nudy! o Feniksy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek!

O! polityczne moje nowe Iksy!...
Upadam wszystkim pokornie do nóżek;
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styksy;
A teraz z waszych korzystam przestrózek
I już nie ody piszę ani hymny,
Ale poemat ten – nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków,
Jeśli co mówi, mówi bardzo krótko. –
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków...
Bo ani z wód kokietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilia, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje – których ja mam w dłoni

I mógłbym... Mógłbym, lecz nie chcę... A może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno świecące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru...
Pełne... Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych spod równika.

Lecz nie... Sybirski będę... lodowaty,
Dlatego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie – spiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów...
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa –
Słowem: ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery,
Schowane bardzo tajemnie w sukience;

Potem zaczęła śpiew o sobie szczerzy –
Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekrećę
Alboby musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowie ta nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią. –
(O! hor[r]or! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żalosne łzy nade mną ronia,
Bo muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz piszący poemat oktawą)

Mówiła, jak dwa gołębice siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę...
Mówiąc płakała – na usta różane
Kapiąc padało kropelkami słońce...
Pan Zbigniew patrzył zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi krzywo,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

„Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą
I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
Te dwa gołębice sztuką prawie diabłą
Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grabłą
Weźmie i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Niewiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący,
Niedoświadczony jeszcze – lecz gorący”. –

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ścisnąć postać giętką:
„Ja znałem twego ojca; gdyby dożył,
Pewnie by twoją chęć pochwalił prędką.
Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym jak człowiek wielki – ani wędką

Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
Zlituj się. Matko niebieskiej korony!

Oto dziecko te oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta. Matko Boża!
Broń rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza.
Pozwól! że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie, i nadzieję.

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łżą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Które by kiedyś jego Bóg rozumiał,
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi – a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą
Krzycząc: «Ojczyznę nam daj lub do spania
Grobowiec sławny» – ale nie posiędą
Grobu ni sławy. –1 to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! – ich rodzeństwo!

I niechaj będzie jakoby stoletnie...
Lecz nie... O Boże! nie słuchaj, Jehowa”.
Tu zamilkł; oczy mu błyszczały świetnie
I pięknym srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze albo za egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały...

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęczę na obrazie,
Pokołysawszy na kształt dobrej łodzi,
Idzie spać. – Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce i czego dowodzi.
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił – i nic więcej.

PIEŚŃ CZWARTA

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: „Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami...” W nawiasie: „Niech was powystrzela

Moskal i diabeł, że się tak klóćcie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel!

Venit iudicium! Nie ode mnie, sługi,
Usłyszysz wtenczas sąd – lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo pan Różański, co Fabiusem
Jest w naszej partii, także i ten drugi,
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi klusem
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci.
Piszę to z głębi żalu do waszeczki”.

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy albo blask księżycy,
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Kto by tam zajrzał, myślałby, że który
Z Ojców Kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnieniu patrzy w ciemne chmury,
A zaś aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,

Podobną róży z gwiazd lub pełnej malwie...
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Książd z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne źródło,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej...

Lecz w owe czasy któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łąza? jak wszystko, co się zowie modą?...
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło!... Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna,
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj... każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w obłęzieniu jadł szczury lub koty –
Że ten wiersz bez psów, bez liszek, bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek...

A więc niech wszystko mija! – Wstańcie, burze!
I zwiejdzie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże
Przechylnie, niech je próżnymi uczyni
Czas. – Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka;
Bliżej chmur, co grzmia – niż ludu, co szczeka.

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię – lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów,
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka,
Czasem podobna do aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda,
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzdarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może: lutnią szalonego barda
Skruszyłbym wzięwszy pod zgięte kolano;
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? – nie wiem – i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje ode mnie – ostatnia!

Lubiłem takie dusze dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet gdy w ciało się straszne obloką
I w pioruny się rzucają namiętne
Lub nad Safony chwieją się opoką;
Lubiłem takie dusze – nie bezkarny! –
Wybrednie marząc w różach – kolor czarny.

Dziś uleczony na pół – lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. – Teraz wam powieścią służyć
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę,
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej
I wszystko może ujść – w kompanii grzeczej.

Stoi więc w dębie moja młodyca
Ze świecą – jasne dwa gołębie burczą;

Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy... Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca –
Mówiąc Delill[e]a stylem – styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francji
Rozumu, jeszcze więcej elegancji –

Ożeniona więc świeca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku –
Zwłaszcza jeżeli Moskał na granicy
Nie czyha na twój sekret, o Polaku,
Z pomocą drugiej ożenionej świecy,
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy (styl Delill[e]a).

Już więc ksiądz Marek (tu mnie nie dościgną
Ikisy warszawskie) kochanków zaślubił
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał – już lak naczubił,
Już... już... Wtem szable mu po oczach migną!
Ksiądz wstał – szczęk wielki był – pieczętkę zgubił;
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowień dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój, naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice; każda jako sierp na głowie.
Zaraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z panem Sawą pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: „Nie pójdę godzić,
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą...
Tak mówiąc patrzył, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa;
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową
I znów ich konie rozniosły szalone;
Za drugim razem tnąc sztuką krzyżową
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,

Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu dwie czerwone
Trysły fontanny; jak rubin się żarzą
W biegu, nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas: we krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni, między oczy –
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę... co skrami pryskając odskoczy,
Pewnie by więcej mój bohater nie żył...
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czymś czerwonym.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czasce swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla pisoryma
Miłe zdarzenie. – Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzymą;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy muszę kończyć. Więc pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. – Była to zabawa,
Której bym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną, gdzieś, w szlacheckich dworach
Pod owe czasy i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w same czoło,
I palec już giał – gdy nagle... o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło
Z tęczy, zlatuje na zamglone niwy:
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,

Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezji mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na ów koń ze śniegu,
Na którym siedział pan Sawa złowrogi;
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc – i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomieszała go – że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Ze galop konia był jako lot ptaka.
A ta dziewczeczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała – strach przechodzi mrowi! –
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się złoty zrobił wąż zwinięty
W kłęby i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winać skręty,
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyjamentów.

Za włosem i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem. –
Nie widzę więcej: jary się tumania,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią...
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. – Teraz kto wypowie
Uczucia wewnętrzne w moim bohaterze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał... a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze
I miał na twarzy taki wyraz boski
Jak ten, co wiersze pisząc liczy zgłoski.

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał, i patrzył – gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu karmelita bosy
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dlaczego waś się bił z Kozakiem?”

O krwi gorąca! że też ja nie mogę
Utrzymać nigdy między wami zgody!
Oto pan Sawa znowu ruszył w drogę,
Bóg wie, czy wróci, a rzeski i młody.
O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
Nigdy się w jednym miejscu nie zagnieździ.

Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura
Dobyli szabel i na konie wsiedli?”
Na to pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która
Zwaśniła obu, gdyśmy tutaj jedli
I pili: oto złota miniatura,
O którą srogi bój obaśmy wiedli.
O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
Ja mu ją, księżu, sam zerwałem z piersi.

A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
Spod żeber jego tą szablą turecką”.
Tak mówiąc strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: „O taką rzecz chodziło świecką?
Warto by obu dyscypliną chłostać!
Wstydz się, wielmożny hrabio! jesteś dziecko!
Tę miniaturę mi dała dla ciebie
Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie
I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,
Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie;
A przy tym i list, skropiony obficie
Łzami, a w takim pisany sposobie,
Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,
Podjąłem się ten list schować w kapturze:

Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
Czytaj waś! ja tymczasem na koń siedę;

Bar potrzebuje dziś mojej pomocy:
Lub go ocalę, lub niebo zdobędę”.
Beniowski, blady jak duch o północy,
Już nie uważał na księdza gawędę,
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niżli Troi,
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta będąca w zamku na załodze,
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola. –
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy–
Pisała panna – nigdy ojca wola,
Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,
Nigdy szalone szczęście lub niedola
Nie skłonią mego serca do odmiany –
Bądź sławny; jesteś mój – jesteś kochany.

Odjeżdżam teraz – ale się otoczę
Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
Woniami, które były tak urocze,
Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem,
Ty mię porzucał – a ja ci warkocze
Dałam całować, przenikniona strachem,
Abyś mi u nóg nie padł konający:
Tak byłeś blady przy gwiazdach i drzący.

Powiem ci teraz, żem się była złąkła,
Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
Gdy się dotknąłeś usty moich włosów...
Pomniesz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
Myślałam, że już ginę z światłem, z echem
I że westchnienie – śmierci jest uśmiechem.

Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
Chmur i tak wstydzi mnie, że nie wiem czemu,
Cała się złałam łzami i rumieńcem –
Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu

Podobna, póki mi był oblubieńcem
Chrystus. – Uśmiechnij się słońcu złotemu,
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
I tak rumieni mnie jak twoje oczy.

Niespokojności pełne serce moje!
Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
Aż do mojego zamku, do Ladawy,
Każ sobie panny otworzyć pokoje;
Na oknie stoi filiżanka z lawy;
Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek –
Nosilałam go dziś całą noc – bławatek.

Nie trać nadziei nigdy! nigdy! Kto ma
Wolać, ten wszystko pokona. Addio!
Z wyciągniętymi za tobą rękoma –
Jeszcze raz wołam ciebie, caro mio!
Przy tobie zawsze będę – niewidoma.
I wprzód mi serce niż ciebie zabiją.
Nie, ty nie możesz zginąć tak jak oni,
Których nie kocha nikt – i nikt nie broni.

Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci.
Odpowiedziała, że będziesz szczęśliwy,
Że się o ciebie wiele duchów kłóci
Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy –
A czyny twoje ktoś na harfie nuci...
Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze.
Nie będziesz temu wierzył, lecz ja – wierzę.

Przepowiadając mówiła mi stara,
Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
A zaś przy tobie stoi jakaś mara
Ubrana w szaty dziewicze – to chyba
Ja... Czy nieprawda? – O! gdyby ta szpara!
Gdyby ta jasna z dyjamentu szyba,
Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

Zgodziłabym się nie widzieć na niebie –
Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu,
Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie;
Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu. –
Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
Pomogłabym ci oczyma – do szczytu

Szczęścia i sławy... choćby? ... Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki do ust były podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
„Te całuj – krzyknął – te rany czerwone,
Które Chrystus miał: godne ust rycerza,
Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
Z których rdza pada na kryształ puklerza!
Rzuć ten list – daj go, jak mówią, szatanu –
A słuchaj: ważną misją dam waćpanu.

Piszą mi – że tron odzyskał khan Giraj,
Przyjazny zawsze Polsce był khanisko;
Masz listy, których, proszę, nie otwieraj,
Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nieblisko,
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj
I bocian także z małą szarą pliską
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest – pliska sternikiem.

Ona ptakowi na ogonie siedzi
I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
Tak jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada,
Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi,
Prosto wędruje i w gniazdo upada –
Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany,
Przebywszy morskie burze i bałwany.

Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
Drogę, a prostą – to choćby do słońca
Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
Odpoczywając. – Lećże więc bez końca,
A będziesz chodził w anielskiej ozdobie
Jako ojczyzny i wiary obrońca;
A nim zasługi twoje w niebie zginą,
Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

Patrz na mnie! – jestem także zmordowany,
A kto wie, co tam w moim sercu płacze?
A jednak wziąłem w rękę krzyż drewniany
I chodzę tuląc do głębi rozpacze.
Wolałbym może już w grób... jak złamany
Dąb i bez liści – lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa – imię Boga.

Więc że i starość jeszcze jowiszowe
Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone;
Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe
I wulkany z nich wyrzuca czerwone,
I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
I kładzie na nią zbawienia koronę...
Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
A pomyśl tylko ty: czymże ja jestem?

Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
Będzie rodziła chwasty i lilije;
Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
A który jutro Bóg nogą rozbije.
Nośże ty ducha w tej cielesnej glinie;
A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.

Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone i nie ginie jedna
Kropelka, ani biała, ni różana,
Lecz każda waży i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
A byłaby też ta Ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie, zginionego młodo,
Łez nie znalazła. – Bądźże więc tą wodą

Ochrzczony teraz i w grobowcu późnym”.
To mówiąc ręce wyciągnął – i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnym
I był na twarzy przerażeniem biały,
I skry mu z oczów szły, i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały
Czuł się przejęty. Będąc tak ognisty,
Z ręki księdzowskich wziął do Khana listy;

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi...
Jechał i marzył o przyszłości cudnie.
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie – przez gościniec z ostów,
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerie chyba z szkła i z dyjamentu
Zbuduję – w karczmach posadzę Dyjanny.

Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny.
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie,
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
A blisko ślubów wysokich – ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ognia plecie:
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna –
Dajcie mi bursztyn i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę półsenny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruję mi znów szumiąc liść jesienny.
Na próżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! – znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak, i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! Głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć – abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina;
I w pieśń się patrzaj tę – co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl: czyja duszę mam powszedną?
Ja – co przebiegłszy świat – kochałem jedną.

Twój czar nade mną trwa. – O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem na kształt słońca

W pamięci mojej. – Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał – a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza знаła to – i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado jak słońce sumnienia,
Chodziłem z tobą jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc
Staliśmy jak dwa sny – oboje – myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w elizejskie bory;
My, cośmy ziemię tę widzieli naga,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory,
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć – znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica.
Która ci chmurę posepną odkryła,
I boleść wyszła z niej jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różycą
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te – gdzieśmy niegdyś chodzili – aleje.

Bądź zdrowa – odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołyszę
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone...
Ja czekam krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie – takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz, do zbielełej róży
Podobna, zasnąć. – Dostyc! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiedły – czara wychylona,

I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...
Już pożegnałem cię –jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ PIĄTA

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy – na niebie łopocą
Kruki jak stada posepne szatanów;
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam na kurhanach posepne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmieszane z szumem liścianych hałasów
Wychodzą na step, a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży – albo sęp bezpieczny;
Podobni z dala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone:
Odprawujące straż i zamyślane.

Beniowski przebył Dniepr – gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc wstawał zamyślony,
Obaczył ogień pod dębowym borem,
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony,
Gotował strawę, i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta, wywrócona, oczyma szklannemi
Zdała się zebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi.
Na jednym żupan był, skóra i kości;
Drugi otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,

Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy – trochę baba
Na twarzy – dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba,
Malowanymi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Ze z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika –
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie
Jak starej kawał arki na Synaju;
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza że słomę wkładali do butów.
Litwin pancernik, jeden z tych mamutów,

Siedział, jak mówię, i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był starej daty;
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwonokudłaty
Perkunas, który pana znał małego
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych bogów,
Kucharzem teraz był – i u trójnogów

Wieszał... ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny; – już nie dawne runy
Śpiewał, lecz diabła żmujdzkiego straszyciło
Krzyżem odpędzał, gdy były pioruny.
Wyborne umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny –
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz, to za boćwinę

Dałby dwie. – O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kamena,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym – ni piu, ni meno –
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów; o nagrodo!
Ze mi ją kiedyś dasz – marzyłem młodo...

Lecz teraz tracę nadzieję. Niestety!
„Nie Iza” – jak mówi Kochanowski – próżno!
Próżno deptałem parnasowe grzbiety
I miałem nieraz Dyjanę usłużną:
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryjolety,
Muza została mi rymami dłużną;
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
„Odejmną” – mówi „Tygodnik” – o zgrozo!

Odejmną! – czy od „Tygodnika”? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry;
Ty byś nie odjął nic sam, Pitagorze,
Z twoją tabliczką w ręku...

.....
.....
.....
.....

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski nie był to bohater modny,
Co się księżycyca tylko karmi blaskiem,
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny.
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią,
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią,
Albo – lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią –
Więc prosto, bez gawędy i odwleczeń:
Beniowski, ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materialne gusta, moja muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka na kształt czerwienego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy
Jak serce wroga na Odyna tarczy,

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,

Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie,
Choć uczyt prostszej nie było w Helladzie:

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moję szlachtę – a sam w stepy,
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.
Ta rozmaitość może być pokrzywą...
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychę,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, toby ją zrozumiał
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! – precz, mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę lub ciągłe tętna;

Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby w nieskończonym rymie,
Odrzuca falom jedno – wielkie imię...

Niż... moja muzo, stój... Od imion własnych
Wara! z tej strofy zrobiłabyś cmentarz;
Coś na kształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę Dońców i Słowian prekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich jak złota strzała Meleagra –
Przeszyje pióro pana Michała Gra.....

„Ej, ty na szybkim koniu!...” Dalej wiecie...
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni,
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: „Skąd, powiedz, wracają Litwini?”
„That is the question!” Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz? – jak mówią Żmudzini –
Które ja czynię naśladowując metra:
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? „Jadę księżycowi,
Aby się w konia przegłędał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziwannon, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny, w skrzydła łowi
I leci za mną jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany” – mówi Sawa.

Tak mówiąc leciał. A zaś nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zradna
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna;
Widać, że z chłopą drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa
Pędził do swego stepowego domu.
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.
Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.

Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wiemy i kilka baranów.

Pies pod niebytność pana – był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał,
Straszny pies: czarny, z obszarpanym uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto poniżał
Korale; szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu – marszałkiem.

Sawa wracając raz znad Styru dolin –
Jeździł albowiem nieraz w Ziemię Łucką
Z atentacjami do jednej z podstolin –
Wracając... patrzy: pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grołą jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką
I oblizuje się po krwawych chrapach
Jako egipski bóg na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżycy,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał:
Ale zapatrzył się w księżyc – i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoi
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi...
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan
Nie wyrzucał mu nic – milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony,
Na wolność puścił znów antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dlatego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I uczuł dziwną czczość zjadłszy w parowie
Poetę może, z poematem w głowie?...

Nie wiem... i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistymi błamy,
Barany białe leżały na skale
Nad grotą. – Obraz ten oprawić w ramy! –
Za Sawą wszedł koń w jamę wyłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił się, koń rżał, ptaki gruchały.
Brylantowymi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały. –
Idyllę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały? –
Pies więc i grotą, koń, gołębice, trzoda;
Spokojne słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: „Oj, moja Swentyna,
Latasz po stepie jak cygańczyk bosy,
A czerwieniejesz teraz jak kalina.
Oj! będzie łycho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na łycho... Cyganka!”

„Na łycho wyjdę czy na spokojnicę,
A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
Córkę starosty albo kasztelana,
Taj się żeń... Ja ci ubiorę w brusznicę
Korowaj... Sama pójdę w step Bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żurawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

Mnie świat szeroki! – Jak złotego gila
Przedała kiedyś Włochom guślarycha.
Ty na kurhanie dumiał Czaromyła,
Gdzie tobie dumy piała Janczarycha;
A mię Włoch bił, bił! Oj! łyza mi rozchyła
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? – wiatr i gołębica!

Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
Pocałuj, zapłaczą, świśnij – taj polecę!

Gołębie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece...
Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę wpław po rzece,
A gdzieś rusałki srebrne wezmą sobie
I pochowają w śpiewającym grobie.

Taj będzie koniec z żalną Swentyną!
Oj! nalatała się ja po kurhanach!
Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
Jak jemiełuszka! była ja przy panach!
I była między chłopami caryną!
A wszystko smutno! – Chodzę jak w kajdanach,
Ni ojca, ani matki na tym świecie!
Groszów zebrała co? – taj wiatr rozmiecie!”

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
A co? straciłaś już twój srebrny wianek?...
Przydybał cię ja, moja kraszanko!
Przy tobie jakiś złoty marcypanek
Szlachcic. – Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
Co ty robiła z nim przez cały ranek?
Cóż? oszukana – ha? kwiatku kaliny,
A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?”

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnemi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona
Jak brzoza, listki wiejąca złotemi,
Wstała i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

Pomiędzy nami stoją te hramoty!
Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
Ani mnie ujrzysz! – ani ja wiem, kto ty,
Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję;
Łzami kupiła ja ten świat podniebny
I komu zechcę, dam pierścionek srebrny”.

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!”
Na to – jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze

Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną –

Podobnie wtenczas się zarumieniła
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!” Białą twarz zakryła.
„Pierwszy raz jestem spłoniona przed tobą;
Teraz się będę zawsze czerwieniła,
Przed każdym okiem, przed każdą osobą.
Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

Gdy dawniej w rękach i na linie Włocha
Gięłam się jak wąż, cóż robiły pany,
Aby mię słowem szczerwienić choć trocha!
A byłam jako kwiatek ołowiany.
Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
Jeśli, jak mówisz, kocham – lecę kochać!

A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
Połóż się chwilę na darniny świeże,
Niech sokół czarnym krzyż obleci kołem.
Ja także jestem jak polscy rycerze,
A ksiądz mię posłem nazywa aniołem;
Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
Zyskać – kto w grobie położy Swentynę?
Kto różę na nim posadzi odludną?
Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Spać na kamieniu!” Tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królowna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu...
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany,
A za nim nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany,
Stanęli. – Burzan, podobny do lasu,
Purpurowymi podpływał bałwany,

By morze blaskiem piorunów rozbite;
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi,
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak delfin wychodzi,
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas – gadem.

I tak się wojsko przez burzany pruło
Jak prąd ogromny sumów lub łososi.
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi. –
Ale się pieśni narzędzie popsuło,
O wypoczynek moja muza prosi;
Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu.
A więc żegnajcie! na stepowym wzgórzu,

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół-aniółach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary, takie ładne!

Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedią, legendę lub odę –
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
„W co?...” Jeśli powiem – będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym Szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w republik jedynaka–syna –
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować. –

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do Arystokracji
I w tym bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych

I w obcowanie ich ducha z narodem,
I w odpuszczenie naszym wodom grzesznym,
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznym
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym.
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego sejmu – wierzę żywot wieczny.

Amen... To „amen” krztusi mię i dławi,
Jak Makbetowe „amen”. – Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żurawi
W postęp... że z kości rodzą się rycerze,
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orłęta wybierze,
Że ogień z nim śpi i węże, i trwoga...
Wierzę w to wszystko – ha! – a jeszcze w Boga!

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny –
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, szcerwieni i w niebie zatrzyma
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma;

Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie;

Kto Ciebie nie czuł w natury przestachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,

Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach,
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach,

Znajdzie – ja sędzę, że znajdzie – i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci. – Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą – i świadczą o Bogu – szkielety,

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kielza...
On – piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łąza
Próżno stracona przed kościoła progiem:
Przed nim upadam na twarz – On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze, w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczora go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, że skinął Ja – i wieszczą wskrzesił.

Jam z wolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały...
Jam zbił – lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo –
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę... Gdybyś mię widział, Narodzie!
Jak ja samotny byłem i ponury
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.

Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką Krzemienieckiej Góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję – i stanąć za mną – lub pode mną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi, i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne –
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwietnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mnie kochać powinna.

Jeśli wy bez serc! wy! – to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary,
Ikwo! płyn przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. – Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy...
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy”.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci? gdzie? portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną papieża
Piorunem myśli podniesione śmiecie
Gnacie. – Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną –
pójdę gdzie indziej! – i Lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać –ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kłąć zechce – przeze mnie kłąć będzie;
Gdy zechce płonąć –ja będę rozgrzewał;
Ja go powiodę, gdzie Bóg – w bezmiar – wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi:
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu!
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam...
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam;

Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy
Jak księżyc – słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twym krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc – ja, syn pieśni! syn królewski! –
Padłem. – A tyś już następował z bliska
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem. – Jam tylko strach i śmierć – udawał!

Znajdziesz mnie zawsze przed twoim obliczem,
Nie powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą – ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś Bogiem był – ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki ten świat pędzisz biegiem krzywym...
Kocham Lud więcej niż umarłych kości...
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. Taka moja zbroja!
I takie moich myśli czarnoksiężstwo!
Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przede mną twych poetów Troja,
Twe hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
Zabiję – trupa twego będę włóczył! –

A sąd zostawię wiekom. – Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać – a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze.
Bądź zdrów! – A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi.

KRÓL-DUCH

RAPSOD PIERWSZY

Pieśń I

I

Cierpienia moje i męki serdeczne,
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy węzową napełnione zdradą...
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemień kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminęte
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II

Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie¹⁰
Trupem... przy niebios jasnej błyskawicy.
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy;
Niebo szerniało... ale świeciło się
Grzmotami... jak wid szatańskiej stolicy...
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. – Zbroja była na mnie złota.

III

I duch niewyszły z umarłego ciała
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała
I unosiły się duchy rycerzy. –
Trójca widm mój stos ogniem zapalała,
A ja czekałem, aż piorun uderzy:
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze –jak duch zmartwychwstanę.

¹⁰ Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku na końcu dzieła p.t., „Rzeczpospolita”.

IV

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posepne swe śpiewały runy:
Kiedy je trzaśły aż trzy błyskawice
I trzy siarczane, ogniste pioruny,
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
I o swe ciało już nie utroskana,
Ale za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana,
W Styksie, w Letejskiej wodzie albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: – a wiedzą tylko wniebowzięci,
Czym jest moc czucia a strata pamięci!

VI

Tam, kędy dusze jasne jak brylanty
Swe dobrowolne czyniły wybory,
Moc utrudzona biegiem Atalanty
Szukała tylko szczęścia i pokory...
Orfeusz między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory;
A jam pomyślał, że mu śpiewem będzie
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII

Ulises poszedł w prostego oracza,
Aby odpoczął po swych wędrowaniach. –
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki – nad spoczynek...

VIII

Ja sam, z harmonią obeznany młodą
Własnego ciała, nie chciałem odmiany
I siadłem smutny nad Letejską wodą,
Nie usta moje myjąc – ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX

Wszakże Letejską przykładając wodę
Do ran – by pamięć boleści straciły –
Niejedną poniósł na pamięci szkodę,
Niejeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały – jako świt daleki –
Umiłowaną odtąd – i na wieki!

X

Ani gwiazdzice, co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą
Tak błyszczącymi, że mórz dziwotwory
Delfiny w morzu swoje łuski skalą
I obchodzą je cicho, jak upiory,
A płynąc wierzchem nad nimi nie śmieją –
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI

Ani tych gwiazdzic jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którąm ja poznał z oblicza
We mgłach Letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk – duchów girlanda słowicza; –
Pod nią – jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły,
Na kwiatki jasne pod ciemnymi jodły.

XII

Z tych łąk i z tych puszczy jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą;
Szedłem... choć strzały numidzkimi ranny...
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Iris... którą na świat znosi szklanny
Obłok?... a tęcze świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońce tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII

Ona przede mną do lesistych zacisz
Weszła... a harfy śpiewały wiatrzane:
„Dobrze ją poznaj – bo wkrótce utracisz,
Jak sny przez dobre duchy malowane;
Żywot... tysiącem żywotów zapłacisz –
A zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema –
Tę jedną smętną ranę – że jej nie ma!

XIV

Sławę ci damy... lecz tobie obrzydnie –
Serce ci damy... ale spustoszeje.
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urażał w Bogu mającym nadzieję”.
Na to Ja: „Niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jej ust światło leje –
A nie dbam o to, co mię dalej czeka:
Żywoty ducha – czy męki człowieka?

XV

W jedną girlandę męki me uwiążę
Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą jako świata książkę
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią...
Choćby aż w piekło wiodła – pójdę za nią!”

XVI

Pamiętam ten głos – i straszne zakłęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „To Królowa!”
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło... A wtem jasność przyszła nowa,
I w tym powietrzu jako w dyjamentcie
Ukazał się wid... Piękność... córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy...

XVII

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciągłym oskrzydlały kołem,
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły – jaśminy i maki – korale.

XVIII

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych niby fala.
Jak atlas, który bierze różne tony
I drząc swe hafty gwiazdziste zapala –
Tak niebo za Nią od północnej strony,
Gwiazdy swoimi łyskające z dala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać... w ogniu, od zorzy rumianym.

XIX

Więc czego woda Letejska nie mogła,
To Ona swoim zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty... i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem –
Opowiem. – Ja, Her, powalony grzmiotem
Nagle... gdzieś w puszczy... pod wieśniaczym płotem

XX

Budzę się. – Straszna nade mną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy:
„Ojczyzna twoja – wrzeszczała – zabita!
Ja jedna żywa... a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. – Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i piołuny,
Wydałam cię, abyś był mścicielem!
Synu popiołów, nazwany Popielem...

XXI

Sam jeden jesteś... ale cię przymioty
Ojców napełnią... a Ja dam dwa duchy:
Na prawo stanie-ć jeden anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj... ty trzeci... i mój głos jak grzmoty
Pędzący w zemstę”. – To mówiąc, pieluchy
Moje chwyciła i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem jak skrą piorunową.

XXII

Jeszcze nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była – a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada;
Gdy spojrzę – liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje – pada –
Czasem na moją pierś tumanem runie –
Ręka mi zadrzy, nóż się sam wysunie.

XXIII

O! pierwsze mego ducha nawałnice,
Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
W której się mój duch niby gołąb kręci;
Dziś nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszcę wejdem... to mię coś tak smęci...
Że rad bym własne wrywał wnętrzności!
Albo u bólów swych prosił litości!

XXIV

Do gwiazdzic morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali własni,
Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mające w sobie całe Polski Słowo –
I moc, i różgę cudów mojżeszową.

XXV

Teraz wiem, jako duch pod ziemią widzi –
A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
Żurawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wleką duchy; – świat zeń szydzi,
Ale go chłopek czuje królem gadu
I wie, że na te źrennicy blachmany
Bije świat duchów tęczą malowany.

XXVI

Te oczy, ręką zasłonięte bożą,
Czasem pod ziemią idą złota żyłą,
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło!
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
Proch ludzki wstaje pod wzdętą mogiłą
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII

Oni to widzą – właśnie... gdy gromada
Urąga... śledząc zamyślane czoło.
Ta Mądrość, która cały świat spowiada,
Dawniej perłową wieńczona jemiolą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar... nie próżna guślarka,
Lecz Mądrość – chorób duchowych lekarka.

XXVIII

Więc wkoło – wioski w wieńce kaliniane
Strojne i roki poświęcone duchom,
Mogły kozom i pasterzom znane,
Trzody dziwiące się ptaków rozruchom,
Mogły dawne... dawno zapomniane!
Dawno oddane mgłom i zawieruchom...
Z darni odarte
.

XXIX

Czasami tylko jaki Zwyczaj dawny,
Indyjski, na kształt złotego upiora
W lasach powstanie. – Kiedy rycerz sławny
Umrze... to lud go grzebie jak Hektora:
Dwanaście koni bije i krwią spławny
Stos... gdzieś pod lasem... pod mgłami wieczora,
Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
Zamienia w ogień i w słup purpurowy.

XXX

Wieszczę się jawią w ogniu i guślarze
Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże
Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
Cześć ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy, wyroki uprzedzając boże,
Dla ciał nie krzyże mieli – ale noże.

XXXI

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał jak sok bachusowy.
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata wkoło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskrós przeszyla
I przeszył ogień zorzy brylantowy,
Gdy wejdiesz w ciemne granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy. –

XXXII

A jednak ty się nie cofasz przed nimi,
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi –
Ale jak żuraw skrzydłami ciężkimi
Próbujesz nowej po błękitach drogi.
Między głazami dawniej czerwonymi,
Między miesiącem i polnymi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przylatują.

XXXIII

W takich kościołach, duch z wysokim czołem,
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kląłem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni:
„Padajcie, głazy, przed ducha aniołem! –
Krzychałem – jako gromada jeleni
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych... gińcie lub wstajcie!”

XXXIV

I nic! Urażał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zielonością –
Bom przewędrował kraj, który mię rodzi –
Inaczej z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną...

XXXV

Ja, syn wyróżnionych ludów... Ja, istota
Nie znana wtenczas na ziemi nikomu...
Gdy obaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrztenki różane:

XXXVI

Gdym to obaczył – a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobow smętnego słowika),
Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka...
Już tchem – już ogniem była – już bez ciała –
Już mgłą – a jeszcze za światem śpiewała; –

XXXVII

Gdym to obaczył – tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi... sam nie wiedząc czemu...
Drząc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnej łodzi... bez nikogo...

XXXVIII

Przerażon, w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pacholka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem –
A głos jej czasem nie był – ludzkim głosem.

XXXIX

Więc ile razy posłucham jej rady
(A rada była dla ducha fatalna),
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc – że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm... usiada na czele...
I drogę moją piorunami ściele.

XL

Żądałem wodzem być... i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.
Ja, co, bywało, za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnymi sprzymierzył,
Teraz tak straszny!... że komu ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył – wnet się wali.

XLI

I szerniał cały świat: a Ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.
Spod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów
Ani dalszego już celu do wzięcia:
W zamku cedrowym nad gopłową wodą
Byłem najpierwszym złotym wojewodą...

XLII

Tu, patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy,
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych... w tak wielkiej ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII

Pierze leżało zmokłe... lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku, takiej miary,
Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno... to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało – wstając leniwe z moczary:
Niby wyzwany czarodziejstwem runów
Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV

Taka w tym skrzydle była tajemnica
I ludzkość, żem się spytał: – „Powiedz, sępie,
Czy was na wiatrach pałac błyskawica
Rzuciła w takie nic... i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?...
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw?... czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV

Powiedz, jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych,
Gdzie tyle górnych duchów – dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych?!”
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI

Widok ten nowy, wspaniały!... czas późny!...
Błyskawic blaski wszędy!... wojsko w dali;
Gdzie każdy człowiek był jak upiór groźny,
Skrzydlaty... w czarnej rozświetlonej stali.
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczułem mroźny
I krzyknął: „Sława Bohu! – świat się wali!
Ja pierwszy moją pierśią go roztrączę!
Ja, duch! – a za mną – wojska latające”.

XLVII

To mówiąc... skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła... za cel brałem sławę,
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomóc do domów... O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły... choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady, i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli,
Jam wszedł jak anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty;
Pokazał się król w odblaskach rubinu –
Spojrzał – i berło upuścił z bursztynu.

XLIX

Widziałem: jako Łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, Dobroć cicha,
Znikła... A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał na kształt mnicha
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna,
Zali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw i króla w źrenice nie bodła?...

L

A on – na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura),
Pobladł i berłem mię wskazawszy – zważył.
Wzięto mię. – Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć –
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać... mój miecz w łono starca wsunąć,
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Co by się zdawał nie bronią, lecz wężem!...

LII

Wzięto mię... a Ja w podziemnej ciemnicy,
Sam, do filarów przykuty kamiennych,
Jako pający, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych
Snuć długie pasma. – Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII

Dusza tak była silna i bogata!
I taką wielką rządzielką kości,
Że ciągle echem duchowego świata
Gadała – ciągle z jego okropności,
Z tych głębin... gdzie ćma niewidzialnych lata
Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepczących... brała straszną siłę sztychu
I tę – jak piorun ciskała po cichu.

LIV

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
I goił burze ducha... ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot – a Lech słyszał
I czuł, zem ja go gryzł – do ziemi chylił;
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnej mocy ducha nie wysilił,
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te – jak sługi moje – były ze mną.

LV

O! wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza:
Dla was są próżne tych czynów postacie; –
Dla innych... ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żalobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu jakaś mara biała...
A tam... kształt jakiś czarny i niepewny...
Ówdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała –
Ujrzałem lice przecudne królewny,
Której z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła – zamieniwszy jej ręce w rubiny.

LVII

Splecione do nóg złociste jej włosy
Wlekły się prawie po głązów zieleni,
Gdzie zakończzone jak dwa złote kłosy
Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni.
Te kwiatki – rzekłbyś – że dwa żywe Losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę... uczepione skrycie
Do nóg idącej falą Amfitrycie.

LVIII

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojej przed rysy innemi.
Reszta mgłą. – A mgły moje tak ją krwawią,
Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawiają
W oczach pamięci duchy... i z białemi
Nózkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX

A ja gdzieś w głębi... do granitnej nory
Schowany... niby kłęb piekielnych duchów
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony... jak piekielne twory –
(Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słyszając, że niegdyś rodziła natura
Smoki, w płomienie ubrane i w pióra)...

LX

Ja – pomny na to, żem tronowi służył
A doznał zdrady – choć nie miałem winy,
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył,
Dotknięty okiem królewskiej dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy... cały siny...
Z takim sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić – jak płomieniem.

LXI

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy!
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty,
Który na słońce idzie w księgach Edy,
I gwiazdy, niebios lazurowych kwiaty,
Ogonem zbiera, w swe czerwone płuca
Wchłania... i z ogniem serdecznym wyrzuca!

LXII

Na nią ja straszny, piekielny i mocny –
A tym straszniejszy, żem był nieszczęśliwy,
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcej wtenczas jej – niż wolności chciwy. –
Jak mi ów czysty duch, wtenczas pomocny,
Otworzył wrota (cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone),
Nie wiem – to wszystko poszło w mgły czerwone...

LXIII

On jednak – ten duch – nie wiedząc, co czyni,
Jednym niebacznym słowem pchnął mię w górę.
Ona – ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś Sybilijnej skrzyni
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom), że jej koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

LXIV

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła – a ojciec zasmucił
Czoła... i miał już przywołać guślarze
Sny tłumaczące – gdym ja nagle wrócił –
Skrzydlaty orzeł – i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długimi ustawił,
I sen jak w jasnej błyskawicy zjawił.

LXV

To mi nieszczęsna powiedziała Pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła – gdy w skrzydła ubrani
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca
W ogniu piorunów. – Lecz ciemni szatani,
Których moc jedno mocą ludzi trąca,
Sprawili: – że snu na nią malowidła –
Na orły spadła rzeź – a na mnie skrzydła.

Pieśń II

I

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki,
Zamek stał cichy na piaskowej górze;
Zimno północne i traw zapach dziki,
I serce smętnie bijące w naturze
Dwa razy mocniej zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie... i koń był koło mnie.

II

Na jednym ręku niosła swe warkocze,
A drugą północ wskazała odludną.
Na to Ja rzekłem: „Na północ nie wkroczę,
Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę
I będę pędził, aż drugą tak cudną
Jak ty pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królowę ognia albo wody.

III

Jeśli nie... wrócę jak straszycło krwawe...
A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
Cień – obalony miesiącem na trawę –
Z konia... ze skrzydeł orlich i z człowieka.
Miesiąc mu daje tę straszną postawę,
Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka.
A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może na powrót grom go tu przypędzi”

IV

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
A tym wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny.
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świeciła... szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące – jak morze.

V

Dyjanna – jak liść wierzby – już zielona,
Już jako róży liść różano-złota,
W ognistych się mgieł zanurzała łona,
Zmienna jak w sercu młodzieńczym tęsknota.
A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi – chciwy nowego żywota,
I uciekałem jak duch, z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją niż przed strażą.

VI

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
Jak upiór złoty, a we krwi umyty,
Złotem cię dziwu wabił ku zdobyczy,
A krwią ohydzał wszelki czar zdobyty,
Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go ucisnął – a tarczy błysnieniem
Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

VII

Po ciemnych puszczech, gdzie się błakał – gnana
Wichrami straszna przyszłości orlica! –
Kto mię napotkał – myślał, że szatana,
Bo wszystko widział wprzód niż moje lica:
Zbroję... i skrzydła... i młot u kolana,
I dzidę, która gorzała jak świeca
Między sosnami, samych niebios blisko,
Miedziane mając ostrze – jak ognisko.

VIII

Na jednym pustym śród sosen smętarczy
Spotkałem smętne i dzikie Germany...
O! duchu! dawnej przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
A na nich orły wydarte legionom,
Podobne lampom złotym i koronom,

IX

Ty jeszcze widzisz – i dziś pytasz siebie,
Kto ci przyczynił głosu i języka?
„Liczni – krzyknąłem – jak gwiazdy na niebie!
Straszeni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebie!
Ja, syn popiołów – ojciec mogilnika! –
Urra ha!...” Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. – Wszystko wstało!...

X

Wszystko! – Dziesiątki całe groźnych kroci
Wstały gotowe na rzeź urahanną...
Wszystko!... Na boku tylko wśród paproci
Białością swoją mnie zadziwił szklaną
Kształt jakiś śpiący, cudownej dobroci
I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posąg... w jutrzeńki światłach – jak w płomieniu.

XI

Rzekłem więc: „Czy to jaka jest królowa
Wyrzniętych ludów? nieskalanej bieli?
Którą tu smętnie czarujące słowa
Na fijołkowej uśpiły pościeli?” –
Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
Jak lampa, która ciemność rozweseli,
Skoczyła... chwilę na błękicie trwając,
Jak gwiazda... potem błysnęła spadając...

XII

A Ja, zawrzawszy gniewem... i brzeszczota
Dobywszy... tego barbarzyńca w czoło
Tnę tak, że jako grenada się złota
Rozwalił ów łeb... tu połą – tam połą...
A Ja – ów zegar widzący żywota
Z tajemnicami, żył czerwonych ziolo,
Idący jeszcze wszystkich sprężyn ruchu –
Porównywałem dwie głów... jak dwa duchy.

XIII

Ledwom uczynił to... nowe mi moce,
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc... tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem,
Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał – Kiejzarem.

XIV

Dziś tam głęboki sen w tej puszczy lata!
A może jeszcze posąg biały leży!
A może jaka nadistrowa chata
Mówi powiastkę moją... i nie wierzy! –
Ani wie, jako na zniszczenie świata
Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy,
I obaczywszy mnie jak burzę ciemną...
Duchy gwiazdzące zawiesił nade mną.

XV

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów milijony,
Które gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony...
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się – kiedy sam nie zdołam
Czynić – a one na pomoc przywołam.

XVI

Z barbarzyńcami – sam – na uroczyskach –
Człowiek... Duch... pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda:
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą – jak pianie kurów u Piłata...

XVII

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją...
A pianie smutne jest jak krzyk dzieciny;
Przedrannym strachem niebios a ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny...
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzeć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce – czy słucha?

XVIII

Jam to czuł, mimo że krew moja biła
Jak piorun w żyły, że hełm od niej dzwonił,
Kita się ogniem czerwonym paliła,
A młot skry takie jak miesiące ronił;
Koń gadał... dzida rosła... szabla żyła...
Wiatry dawały rady... obłok bronił...
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze...
O dobrym – złote żurawiane klucze.

XIX

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany,
Wpadłem na ziemię moją nieszczęśliwą;
Lech nie żył, a lud jego zabijany
W królownę patrzył jako w gwiazdę żywą...
Ona też pancerz złoty, malowany
Kwiaty różnymi, jak słoneczne dziwo
Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
Podobna białej Anhelicy – Sławie.

XX

Koło niej ciągły tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
Ileć w wieczór mgłami się zabrudzi,
To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą:
A nic, gdy biją – straszniejsi, gdy jęczą.

XXI

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków...
Gdy te ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków,
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysięcy,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką... że ledwo dla nich – na mogiłę.

XXII

Ja wtedy, pod lwią skórą rudozłotą
Siedząc na prostej powózce Germanów,
Rzekłem: niech pierwaj dziewczęta rozplotą
Warkocze – córki najpierwszych Supanów,
Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina... Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą.

XXIII

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżycą
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwyca,
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usta różanemi:
Co chce!? niebiosą całe – i pół ziemi?!...

XXIV

Z tym stary Swityn i Czerczak posłowie
Odeszli. A mnie jej postać, wprzód senna,
Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie
I coraz bardziej jawić się płomienna.
Więc potem, kiedy ległem na wezglowie,
Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie,
Jak duch tęczami różnymi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty –
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI

Słyszac te głosy, z którymi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
Obracająca powietrznym chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc... przywiodła duch – że włosy rwałem;
Przez wszystkie jęki i tony, i zmiany
Idący za nią w toń – jak zwariowany.

XXVII

Jeszcze noc była – a Ja, hełm na głowę
Włożywszy, wsiadłem na koń... pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
I zamek, wieży sterczący kawałem
Nad Wisłą... gdzie lud tę swoją królowę
Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy, w róg mosiężny dzwonię –
Grzmię – aż mi wszystkie oderwały konie.

XXVIII

Wychodzi siwy Swityn, wojewoda,
Ze snu czerwone przeciera źrenice.
„Idź – rzekłem – bo mi stów wczorajszych szkoda,
Zanadto ostre pokazałem lice;
Niech mi królowa wasza, jasna, młoda,
Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona:
Pieśń mi zaśpiewać... paść w moje ramiona”

XXIX

Nic nie rzekł Swityn, lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.
Rybacy srebrne trzymali niewody;
Kilka świec (choć już ranek błyszczał biały)
Nieśli kapłani, z lutniami rapsody
Siedli na zrębie jednej małej skały,
Pod bladą wierzbą... mgłą ranną okryci.
Na wzgórzach w zmroku zapalono wici.

XXX

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem, tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Dyjadematów złotych półmiesiące;
Inne – bławatki do wieńca potrzebne
Zbierały w trawach – kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI

Dawny świat! – Obraz dawny wywołyвам!
Lecz ileż razy różaność przedwschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki budzące się do dnia,
I tęczę, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
Przypominały obraz on tak rzewny!...
Ubranie martwej na łąkach królewny...

XXXII

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą poźłotę słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni,
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
Pełny – okrągły – blady się przemienia
W mgłę... jak cudowna twarz srebrnego cienia.

XXXIII

Taka jej bladość! nieco ku błękitom
Nachylona już zgonu okropnością,
Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
Z upiorną niby odśmiechnione złością.
Zresztą – spokojnie się onym kobietom
Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu –
A strach powiększał trupa w oczach gminu...

XXXIV

A cóż dopiero! gdy Ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spójrzałem surowo
I połamawszy miecza w błyskawicę,
Cisnąłem jego kawałki nad głową.
Nade mną ducha mrok i złote świece
Miecza – nad kitą moją purpurową
Jak zawierucha olimpijska wstały! –
Mój duch... na hełmie stanął... w ogniach cały!

XXXV

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł, zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy,
I szli – jak morze huczące z daleka.
Stos wystawiłem okropny! książęcy!
Taki wysoki, że wiślana rzeka,
Na białych trupów zatrzymana murze,
Stała – cała jak upiór – w purpurze.

XXXVI

Lecz pierwej, nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!
„O! włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
W ogniu z wiślanych oschnąć dyjamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
W gmachy, filarów pełne i zakrętów.
W alabastrowej cię położę trumnie,
Każę strzec wieków śpiewacze... kolumnie.

XXXVII

Zbalsamowaną... wiecznym zdjętą spaniem,
Cicho na białych atlasach położę...
Sam przyjdę... jak lew legnę... i wzdychaniem
Śmiertelnym twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz... i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz, w tych podziemnych cieniach
Coś czytająca... wiecznie... na kamieniach?...

XXXVIII

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posepnie i głucho,
Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica,
Z otwartą, szklaną żrenicą i suchą;
A ty – jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Ze pieśń... z tysiąca lat... chwilę uczyni!”

XXXIX

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiazdnicach z mieczy,
Upowić krwawym rycerskim sztandarem!
I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

XL

„Tam ją – krzychałem – gdzieś na lodowiskach
Złożę jako kwiat ujęty w kryształach!
I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale –
A sam z dzikimi orły na urwiskach,
Dzikszy niż burze, straszniejszy niż fale!
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć... i ogniom pochłonać!”

XXI

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucił, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał... i piorun zawsze miał pod chmurą. –
Potem więc roki się zebrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał;
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XXII

I któż by to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi? –
Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi.
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach – blady...

XXIII

A nie Bóg nad tą żywota fortecą
Zgwałconą twarzy pokaże? to przecie
Komety złote na niebie przylecą
I bliżej oblicz ukażą na świecie,
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
Jak widma – jedno – i drugie – i trzecie...
Jeśli nie złękę się, a krew mię splami...
Kto wie!?... jak słońca przyjdą tysiadcami!

XXIV

Niebiosą pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych! może z krwawymi oczyma! –
A tu koło mnie powietrze cmentarzy
I ciągła burza, wiatr, ogień i zima,
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy,
Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma,
Gwiazda zajęczy jaka lub zaszczeka?
Wszystko pokaże... że dba o człowieka!...

XLV

„Jeśli nie – rzekłem – jeśli z tym motłochem
Postąpię sobie jak król zwariowany,
A żywot jak wąż schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany,
To ludzie są proch! i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tym straszniejszy – że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły”

XLVI

Zaledwo ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją... jasny... i suchy...
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach, czy są duchy?
Więc naprzód Czerczak, u nóg mi nikiemnie
Proszący o łeb, pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj prorocy,
Których dziś... krwawe łby... widuję w nocy...

XLVII

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem... niby z nim będące w znowach.
I z wież patrzyłem na ten łańcuch długi
Idących na śmierć z świecami, w okowach.
A niebios!... niebios błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzyły na to ciche – obojętne!
Mnie się wszelako zdawało, że smętne!

XLVIII

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze;
Albo że ze ścian, ogniem zapisanych,
Wyjdą pająki z ognia... straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszają
I wyrok jakiś ognisty napiszą!

XLIX

Myślałem, że me noce niespokojne,
A dnie, jak noce bez gwiazd, będą czarne;
W ciemnościach jęki albo chrzęsty zbrojne,
Tchnienia na czoło chłodne albo parne! –
I nic!... Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z bożą wzdardą...

L

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło z czasów onych...
Gdy stopy, całe dziś w mogiłach widne,
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych...
Wtenczas ujrano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa,
A jam był senny jak wąż, gdy poziewa.

LI

Czasami z góry... na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię... i tak jako owce
Najpierwsze państwa karacze, supany
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce,
A ja, bywało, z góry, jak sęp dziki,
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore... dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono
Ani się serce strachem zakołysze...
Jako Lucyfer z błyskotną koroną
Stoję... a zbrodni mojej towarzysze
Na większą niż te wszystkie okropności
Patrzą – na mą twarz śmiertelnej błądności.

LIII

Dziwią się wszyscy, że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam;
Nie wiedzą, że ja, duch natchnięty, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych; i znów za miecz
[chwytam,
I znowu cały świat na siebie wściekam!
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciało długość przedłużył...
Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
Póki kruszyłem duchom: łódź i wiosło...

LV

Poszedłem dalej... i w męki wyborze
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć.
Matkę mi z lasu stawiono na dworze...
A ja zamiast się u nóg jej położyć,
U tej w lachmanach podartej orlicy –
Ciała użyłem za knot smolnej świecy...

LVI

Rzekłem ludowi, że mnie czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła.
Z włosiem palącym się jak ptak latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuka
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła;
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnej chorobie.

LVII

Raz tylko byłem tak na siebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice;
A byłem cały jako trup szerniały,
Który stoletnią miał w ziemi trumnice,
A już robaki z niej pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
I czerwonymi przerażone łzami
Trupa... i kości spróchniałych ogniami.

LVIII

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękitny
Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
Z pieśnią... co była jako szklane zgrzyty
Harmonik... i szła w ton coraz boleśniej,
Aż upadała w śmiech – w szaleństwo pieśni!...

LIX

Gdy mię, bywało, taki czar omami,
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko piana toczy się ze łzami,
A usta milczą – to mój duch omamion
Wszystkimi, zda się, kręci księżycami,
A gwiazdy na kształt muzykalnych znamion
Chwyta... i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie Pieśń Sen, lecz Pieśń Mocarza.

LX

Jeden był tylko przy mnie giermek mały,
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły... pierś mu się popsowała.
Chodził i przez sen gadał, i drżał cały
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napelnił przelotem
Tonów... i zamknął napelnioną grzmotem.

LXI

A tymczasem mię wielki Pan niebieski
Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
Grzmiały jak trumny. – O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy,
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII

Na świecie o mnie śniono. – Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, żem blady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
W której pływają gniazdem węzo-gady;
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi –
(Purpurowe tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła,
Na króla duchów czerwonych – do piekła.

LXIII

A co dziwniejsza... że mię ukochano
Za siłę – i za strach – i za męczarnie.
Gdym wyszedł... lud گیاł przede mną kolano,
Lud owiec, który się k'pasterzom garnie!
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie,
I między nimi w środku zawieszoną
Tę twarz jak lampę trupią i zieloną.

LXIV

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte;
A przez czerwoną, rubinową korę
Patrzy duch... widmo przeszłości przekłęte!
Przez jakież, Panie! męki i pokorę,
Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte
Musiałem ścierać strach z mojego czoła?!
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?!

LXV

Żem wyzwiał słońca twoje i księżycy,
I meteorów ogniska, i burze
I przeciw gniewom twoim niósł przyłbicę,
I chciał zobaczyć, sługa – komu służę? –
Żem chciał zobaczyć, Panie! twoje lice,
Cztery pioruny twoje... świata stróże...
Wszystkie potęgi twoje o świat drżące,
I wszystkie słońca, i wszystkie miesiące,

LXVI

Tyś mną pogardził. Panie! i ominął,
I do straszliwej śmierci doprowadził. –
Swityn żył jeszcze. Starzec sławą sływał,
Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Granice mego królestwa rozwinał,
Na dwu srebrzystych morzach mię posadził;
Stary – a miecza do pochwy nie chował.
Jam go jak ojca kochał – i szanował...

LXVII

Pamiętam... biła północna godzina
I konstelacja Łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdzie był, leciała... jedyna
Sufitów próżnych lampa wśród ciemnoty.
Wtem myśl ohydna o śmierci Swityna
W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą!... żem wnet ku niej dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niej...

LXVIII

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
Już jako pani mego serca była...
„Spróbuj – wołała – jeżeli ten skona...
A żadna zorza by nie zaświeciła?
A żadna gwiazda z tych gwiazd przerażona
Nie przyleciała? krwi się nie napiła?...
To wtenczas będziesz spokojny o ducha:
Ziemia proch! – człek z niej jak wulkan wybucha.

LXIX

Płomieniom wolno chodzić po dolinach
I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
Za myślą swoją idź – nie myśl o czynach!
Próbuj, czy niebo martwe jest, czy żywe?”
Tak mi ktoś szeptał. – Gdyby w stu Switynach
Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzyły na mnie z grobu jego wzrokiem,
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX

Wysłałem katy... lecz myśl, gdy się kwieci,
W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.
Posłałem drugie... dwór – żonę – i dzieci
Wyciąć. – Był ciemny dzień i grad z ulewą.
Czasami słońce ponuro zaświeci
I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze –
Bom stał... czekając tych katów – na wietrze.

LXXI

U progu mego żebractwo się szare
Skupiło. Patrzą... król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę
Jęczącą gradem bijącym po zbroi. –
Wtem wyszło do mnie suche widmo stare...
Żebrak... i blisko stanąwszy podwoi,
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościł... i podał mi list od Swityna...

Pieśń III

I

Na dworach wówczas nasze wojewody
Trzymali sobie nadwornych gęślarzy.
Ci byli jako rycerstwa rapsody,
Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze srebrne, długie brody
Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral lub w srebro, lub bursztyn oprawne.

II

W rękę trzymali niby pastorały
Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Tymi – bywało – chłopczyków chorały
Pędzą – i wiodą takt przez harmonije;
A kiedy w górę kij podniosą biały,
Wtenczas z choralnej pieśni piorun bije;
A kiedy spuszcza na dół berło dziada,
To na kolana pieśń jak anioł pada.

III

O takim kiju, z lireczką u pasa,
Stał stary rapsod Swityna u proga.
Na płaszczu – pomnę – była różna krasa
I łaty różne; – zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
I różne światła płoną. – Jego noga
Bosa dziś świeci przed mymi oczyma.
W obwiązkach, srebrna, jak muszla pielgrzyma.

IV

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą,
Podróżny żuraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrnowłosą,
Stał w płaszczu starym, jak w błękitnej chmurze,
I list podawał. – Iryda za kosą
Wlekąca tęczę, gwiazdzice i róże
Nie jest mi piękną tak... gdy z niebios spada...
Jak to wspomnienie dawne – tego dziada!

V

O! złote serce śpiewaka i sługi,
Tak po męczeńsku cierpiące dla pana!
Miej grób! którego nie rozorzą pługi,
Do zakłętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi
(Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana)
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiewaj! – a liry też czasem pokręcaj!

VI

Niech mi przypomni czary tobie znane
I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
Rzędem, jak dźwięku anioły w organie;
A przebacz mi już tę okropną ranę
I to straszliwe nóg przyćwiekowanie,
Któreć odjęło to – coć najboleśniej!
Twój najpiękniejszy czar – wędrowność pieśni!

VII

On mi podawał list – a ja na nodze
Jego oparłem miecz żelazny, krzywy,
I czułem, że mu między kości wchodzę;
A on stał – jak Bóg wielki – bo cierpliwy!
Mieczem przygwożdżon w kamiennej podłodze,
Którą czerwienił krwawy koral żywy...
Stał... obwinięty ów żebrak w błękicie...
I tak się na mnie patrzył, jak na dziecę.

VIII

A ja, nie zdjawszy miecza z jego rany,
Owszem głębiej go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
Paliły mi mózg i gryzły wnętrzność.
Ten list! na sercu moim zapisany,
Nad wszystkie ducha mego okropność
Głębiej swe straszne zarzuty wykował!
Bo mną ten człowiek gardził – choć miłował...

IX

„Kacie ojczyzny mojej – i tyranie!
Mój królu wczora! (pisał Swityn stary),
Na dobrowolne poszedłem wygnanie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary...
Ty mię wyganasz... a ja, o mój panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie – sam znikam bez wieści –
Sam nic nie biorę z sobą – prócz boleści...

X

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój; chętnie w ręce twoje złożył
Tę głowę ściętą, ale uśmiechnioną,
Której Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono
I nad kośćmi ludzi się nie srożył,
Gardząc miłości ostatnim spojrzeniem,
Mszcząc się nad kością – jak pies nad kamieniem.

XI

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie – twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak jak pochodnia świecąca w wilgoci,
Cały oświecon ogniami i parą.
Tyś mię sam ostrzegł!... a to nie z dobroci,
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słyhać ciebie – i czuć – choć z daleka...
Kiedy pomyślisz o śmierci człowieka...

XII

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega,
On naprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega;
Gdy twoje ciało śpi – a ząb twój zgrzyta,
Duch twój wychodzi i po kraju biega,
I targa włosy – jęczy jak kobieta...
Ty, zmordowany jego lamentami,
Wstajesz nie wiedząc, żeś płakał nad nami...

XIII

Jakiś cię anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe,
Lud rozhartował – a ciebie skamienił,
I kazał ludy orać jako niwę –
Abyś co? – wiatry wiejące spłomienił
Duchami, które wyszły z ciał – a żywe
Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie...
Jak wiatr na ciebie – i przeciwko tobie!...

XIV

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze...
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem... który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie! na wylądzie
Brzegu, o który grzmi ogniste morze –
Krwia twoją jasne i zafarbowane...
Czekam! – z tym listem przeciw tobie stanę!...

XV

Tu ci nie błysnie więcej moje lice.
Choć niedaleko lecę... żuraw szary.
Pobytu mego mają tajemnicę
Ja tylko – mój koń – i mój rapsod stary.
Prędzej byś zgonił letnią błyskawicę
Niż mego konia. – Człowieka zaś wiary
(Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszą) spróbuj, królu – masz go w ręku!”

XVI

Taki był straszny starego Swityna
List... ja w nim groźbę jęczącą słyszałem
I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko... a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina
Z całą wściekłością! z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć!
Wszystko!... a złamać harfiarza – lub skruszyć!

XVII

Stary był... pomnę... Zorian się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki
Na lirze sobie czasami podgrywał
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał – ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki –
Głaskał ją tylko (wyjaśniwszy lice),
Niby zléknioną, białą gołębicę.

XVIII

Zdawał się mówić i twarzą, i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
„Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką!
Ani się lękaj cielesnego zboja!...
Nie bój się, moja maleńka lirenko,
Nie bój się, siostró! nie bój, córko moja! –
A na cóż by to nasza mądrość była,
Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX

Przyjmowano cię po domach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
Bądźże dziś wdzięczna – a nie płacz przy katach,
Bo się ucieszą i ton twój pochwyca.
Czekaj – wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą!...
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak anioły śpiewają!

XX

Czekajże, liro!... śpij!... Błogosławiona
Ta błyskawica jasna i rumiana!”
Tu, wzięty w złote ogniste ramiona,
Zniknął. – A mój duch uczuł wtenczas Pana.
Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana...
Pierś, która wiatru w się więcej nie bierze,
Ostrzegły – że już do piekła należę...

XXI

Dysząc na konia siadłem... od popiołów,
Które pożarły pieśń, obsypan... w szale.
A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła – w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzone... za mną w Wisły fale
Rzucił się, gotów mordować do końca.
Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII

Ja przodem. – W czerep czarny, ołowiany
Ukrywszy głowę moją jak w kapturze –
(Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany,
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień
[w chmurze),
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze –
Że trupy swoje wyrzeżane chował.
Duch mój przede mną tam był – i mordował.

XXIII

I przestraszyłem się – bo mi z pamięci
Wczora wydane rozkazy wypadły.
Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali bladymi przede mną widziadły;
Jam wrzeszczał: – „Kto tu prędzej niż me chęci?
Niż myśli moje? kto srożej zajadły
Na krew Swityna niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił – jak Bóg – myśli moje?

XXIV

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
Ta wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
Te sionki z cedru... które głosem ruszę –
A one pełne ech, jęków i krzyków,
Swityna głosem brzmią na każdym piętze,
Jakby starego instrumentu wewnątrz...

XXV

Ja jeden – który do szaleństwa skłonność
Mam – wpadłem tutaj o jutrzeńki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
Ani pieśń rodu śpiewana w sufitach,
Ani mię zemsty nieudolnej płonność,
Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach
Nie zatrzymali. – Nic nie ma na niebie!
Ja sam, jak Pan Bóg, będę sędził siebie!”

XXVI

To mówiąc kostur wraziłem okuty
W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
„Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was, zbrodni wykonawców”.
Tu zamek cały błysnął na kształt huty
Ognisk czerwieni... a ja, tych bladawców
Zbrodniami bladych otoczony wieńcem,
Siadłem – trup jasny pijaka rumieńcem.

XXVII

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie;
Swityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały Zbrodnie –
Widma... w płaszczach z krwi, z zielonymi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne... a gdyś spojrział wprost – zniknione.

XXVIII

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
„Panie! Ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore”. –
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany
(Sądząc, że widzę ducha albo zmore,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka),
Na wskrós przeszylem pierś tego człowieka.

XXIX

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej ogromnej gwiazdzicy...
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy,
A ten się błyskał i mienił na zarzy
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy.

XXX

Wtenczas... w tej gwieździe oczyma usiadłem
I mocowałem się z nią jak z szatanem;
Truciznami ją serdecznymi jadłem,
Trawiłem jądów duchowych gryszpanem.
Więc czasem ona – a czasem ja bladłem...
Ażem nareszcie padł, jednym kolanem
Przyklękły... dysząc... przejasnymi świty
Jak rycerz w szrankach dzidą w pierś przebity.

XXXI

I obaczyłem w gwieździe niby znamię
Ognistsze... powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem, że mi ducha łamie
Na wieki jakaś moc – straszna – głęboka.
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy – i palcem ognistego smoka
(Który w niebiosach wił jasnym ogonem)
Wskazując, rzekłem: „Przyszła z moim zgonem

XXXII

Kometa”. – I tu, coraz bardziej blady
I mieszając się już, rzekłem ponuro:
„Świat zwyciężyłem! i oto są ślady,
Żem duch mający moc – nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady,
Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się złękło o świat. – To śmierć moja!

XXXIII

Idźcie... Już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią... i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią – i tym się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli – gdy król wyrzynał!

XXXIV

Co do mnie?... jam jest bicz okropny, boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jedną otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłości... jak psy spuszczone z obroży,
Żądze... jak słońca ogniste rozploną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójda cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi – i wszechcierpienie!

XXXV

Duch mój odpowie. Lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka
I w pieśni długiej wędrownego dziada,
Żem żył. – Chwasty mi porosną na grobie...
Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

XXXVI

Ale po latach!...” Chciałem mówić więcej,
Wtem się zaczęła kości targanina.
Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
Szło iskier... topniał na mnie drut i cyna.
Chciałem zachować dumny kształt księżęcy,
Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły czarną,
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII

Nic więcej. – Straszne zaćmienie i głusza!
Na sercu ręki bożej położenie;
Docisk ostatni – pod którym się dusza
Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumnienie.
Więc jako robak, co się w ogniu rusza,
Tak ona – póki w ustach było tchnienie –
Leżała na dnie swej serdecznej plamy...
Aż Bóg otworzył jej – wieczności bramy.

XXXVIII

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czym była istota
Czynów? w czym wyższość od rzymskich Herodów?
Nade mną była myśl słoneczna, złota,
Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi:
Jam szedł... jak rycerz... krwawo – i bez trwogi.

XXXIX

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słyhać było w każdym moim kroku;
Choć być na takiej drodze? – lepiej w trunie!
Choć z myślą taką? – lepiej z włócznią w boku!
Prędzej czy później – deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku;
Na mnie – żurawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość – pioruny boże jeszcze biją...

XL

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska – na ból – skała...
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe... lecz com ja wycisnął
Pod krwią... tym zawsze zwyciężył, gdy błysnął!...

XLI

Śpijże, mój kształcie pierwszy... z ducha zdjęty...
Świecący w dali jak księżyc na nowiu;
Upiorny... za krew wylaną przeklęty...
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyjamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury – z ducha budowane,
W ciemność i w chmury, i w piorun ubrane...

XLII

Lecz ja na tobie nogę postawiłem
I dalej szedłem; a jużem był boży. –
Morza się cofną, góry pójdą pyłem
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię – co ciałem spełniłem;
Duch – ukazany w pierwszej świata zorzy...
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

- ¹ Wenecja.
- ¹ Siedem wysp.
- ¹ Ostatnia batalia Greków przeciw Aleksandrowi.
- ¹ Oda Manzoniego na Zmartwychwstanie J. Chr.
- ¹ Był pod Stambułem i Aleksandrią.
- ¹ Wino w całej Grecji zaprawiają żywicą.
- ¹ Sławny rysownik arabesków i snów dziwaczknych.
- ¹ Budynek spalony.
- ¹ Obraz istotnie przysłany z Moskwy.
- ¹ Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku na końcu dzieła p.t., „Rzeczpospolita”.

284

284

284